

TYGODNIK PRAWDA

ŁÓDŹ \ WARSZAWA \ POZNAŃ

Sprawy tygodnia

MASAKRY MAJOWE.

MANIFESTACJE robotnicze w dniu 1 maja mają zawsze przebieg mniej lub więcej burzliwy. Jednak to, czego widownią były ulice Warszawy w tym roku, wykracza daleko poza ramy, w których tolerancja ze strony państwa jest możliwa. Takiej masakry, wzniesienia takiego popiochu i takiej paniki państwo tolerować nie może, gdyż byłoby to sprzeczne z ciężącym na nim obowiązkiem utrzymania bezpieczeństwa i ładu. Kilka trupów na placu i zgórą trzysta rannych, w czym kilkunastu w stanie beznadziejnym, w czasie największego spokoju w państwie i bez żadnej katastrofy ani tragicznego wypadku, to wydarzenie wysoce niepokojące, którego lekceważać nie wolno ani przypadkowym zbiegiem okoliczności czy chwilowym, przemijającym podnieceniem tłumy tłumaczyć nie należy.

Tem i podłożem wypadków wtorkowych jest antagonizm pomiędzy socjalistami i komunistami, który na terenie stolicy jest najsilniejszy. Mimo niezliczonych i buńczucznych wezwań socjalistów do likwidacji komunistycznych wpływów, wpływy te systematycznie wzrastają nie tylko w sferach proletariatu wielkomiastowego, ale także i w organizacjach zawodowych, którym tradycyjnie dotychczas patronowali socjaliści. Socjaliści do utraty swoich wpływów w masach robotniczych i proletariackich przyznać się nie chcą. Sukcesy wyborcze komunistów przedstawiają jako nieporozumienie i kategorię zaprzeczającą, by sukcesy te osiągnęli przy udziale mas robotniczych. Zdaniem socjalistów kartki z komunistycznym numerem składali do urn wyborczych drobniemszczenie i rozgoryczona podupała „burżuazja”. Robotnicy według nich po dawnemu wiernie stoją przy sztandarach socjalizmu.

Stąd olbrzymie znaczenie, jakie P. P. S. przywiązuje do manifestacji w dniu 1-ym maja. Wybory do Kasy Chorych, do rady miejskiej, do sejmu są pozbawione wszelkiej wartości, gdy chodzi o dowód siły wpływów socjalistycznych, a nikłoci wpływy komunistycznych — potęga P. P. S. objawia się w pierwszym dniu maja każdego roku w całej swej okazałości. Te nieprzejrzane tłumy, które w tym dniu wylegają na ulice, idą w pochodzie lub towarzyszą pochodowi — to są kadry P. P. S. w stolicy, to wszystko wierni i karni członkowie partii i spokrewnionych z partią organizacji zawodowych i innych. Tak głosi prasa socjalistyczna przed i po manifestacjach majowych. I im bardziej słabną faktyczne wpływy P. P. S. w stolicy, tem większy nacisk kładzie się na reżyserję manifestacji majowej. Tem się tłumaczy, że od kilku lat nad bezpieczeństwem pochodu majowego i innych manifestacji w tym dniu czuwa specjalna straż partyjna, zorganizowana w oddziałach bojowych i zaopatrzona w broń. Istnieje bowiem zawsze prawdopodobieństwo, że komuniści zechcą podjąć próbę rozbicia rewji sił socjalistycznych, aby złożyć dowód, że socjaliści nie mówią prawdy, odmawiają im wszelkiej siły i wpływów i kładąc lekceważąc ich sukcesy wyborcze na karb nieporozumienia i przypadku. Gdyby doszło do takiej ewentualności i socjaliści ponieśliby porażkę, prestiż ich byłby poważnie zachwiany. Stąd te niezwykle przygotowania socjalistów przed każdą majową manifestacją w ostatnich latach, ta mobilizacja partyjnej milicji, zaopatrywanie jej w broń, samochody ciężarowe i t. p. ekwipunek. Ale stąd też atmosfera zdenerwowania i podniecenia, w której każdy drobny incydent staje się powodem katastrofy. Socjalistyczna milicja stosuje w tym dniu często zbyt pochopnie metody, które są najgorzej potępiane przez socjalistów, jeżeli gdzieś w ostateczności zastosowane zostały przez państwowe władze bez pieczeństwa. Nie licząc się z następstwami

ani z warunkami miejsca, milicja socjalistyczna stara się zlikwidować każdy incydent nawet wtedy, jeżeli istnieją tylko poszlaki, że chodzi o zamach na bezpieczeństwo pochodu. W takich warunkach przelew krwi i okropne sceny wyłamywania żelaznych krat ciałami ludzkimi, wysadzania sfłoczonemi ciałami ludzi drzwi w bramach i szyb wystawowych, są nieuniknione tak samo jak bezładna strzelanina, jeśli rozpęta ją może pierwszy lepszy huk lub strzał prowokatorski. Gdyby policja wykazała tylko w setnej części zdenerwowanie i podniecenie milicji socjalistycznej, to najniewinniejsza demonstracja, pierwszy lepszy pochód kończyłby się zawsze masakrą.

W ROKU 1926-ym w czasie manifestacji majowej padło w Warszawie pięciu ludzi. „Przewaga ognia” była wówczas po stronie milicji socjalistycznej. W tym roku strzelanina była już obustronna. Socjalistyczna milicja górowała nad atakiem komunistycznym tylko przeważając organizacją i wyszkoleniem. Ale co będzie za rok lub za dwa? Demonstracja majowa socjalistów będzie zawsze przedmiotem ataków ze strony komunistów, przyczem komuniści niewątpliwie skorzystają z doświadczeń dotychczasowych i metody swojej akcji będą doskonalili. Jest więc perspektywa corocznych walk ulicznych w stolicy w dniu 1-ym maja. A jeżeli kiedyś komunistom uda się rozbić pochód socjalistyczny — co wtedy? Czy aby wówczas nie za późno będzie na interwencję policji, czy wtedy możliwą będzie likwidacja awantury bez dalszego rozlewu krwi i wyjątkowych zarządzeń?

Państwo jest obowiązane do utrzymania ładu i bezpieczeństwa i niczyjej gwarancji w tej dziedzinie przyjmować nie może. Wierzymy, że nie tak łatwo byłoby komunistom rozbić lub opanować pochód majowy socjalistów — komuniści nie mogą bowiem przeciwstawić im równie dobrze zorganizowanej i wyposażonej milicji, ani nie mają tej swobody ruchów, jaką mają socjaliści. Niemniej jednak państwo nie może tolerować oficjalnej poniekąd okazji do starcia się tych dwóch nieprzejednanych wrogich sobie żywiołów, jeżeli zgóry istnieje pewność, że starcie to musi być krwawem. Państwo w interesie własnym i w interesie ogółu musi walczyć o rozdzielenie, aby do walki nie dopuścić. Osiągnąć można to tylko przez wydanie zakazu organizacji pochodu socjalistycznego w dniu 1-ym maja na terenie Warszawy.

AGENCI MOSKWY, CZY NIE?

W JEDNYM I TYM SAMYM numerze socjalistycznego „Robotnika” mamy dwie opinie o komunistach i ruchu komunistycznym w Polsce. Mianowicie w numerze „Robotnika” z dnia 3 maja p. Kazimierz Czapiński w artykule wstępnym dowodzi, że wszystko, co czynią komuniści, czynią na rozkaz Moskwy. Że na rozkaz Moskwy prowokują walki bratobójcze, że na rozkaz Moskwy czynią burdy w sejmie i poza sejmem. Jednym słowem, że „twardy rozkaz kominternu” zastępuje w szeregach komunistycznych ideologię. Tak obszernie napisano i uzasadniono na pierwszej stronie.

Na stronie drugiej znajduje się obszerny sprawozdanie z obrad komisji budżetowej sejmu nad budżetem Ministerstwa Sprawiedliwości a w tem sprawozdaniu taki ustęp:

Obszernie mówca omawia szkodliwą politykę wysokich kar za przestępstwa polityczne, mianowicie za przynależność do partii zakazanej polemizuje przytem z poprzednim mówcą, pos. Podolskim (B. B.), dla którego komuniści — to prosto pla-

Cena numeru
40 gr.

Prenumerata z dostawą
do domu:

miesięcznie . . . 1.35 zł.

kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P. K. O. № 63.353

tni lokaje Moskwy. Przestrzega, aby w walce z komunizmem nie upraszczano skomplikowanych zjawisk społecznych.

Mówca, o którym mowa w tym ustępie, był także p. Czapiński, który jako poseł na Sejm jest członkiem sejmowej komisji budżetowej.

Poseł Czapiński jest najwybitniejszym teoretykiem polskiego socjalizmu. Jeżeli przeto taki człowiek nie jest w stanie sformułować sobie wyraźnego poglądu na istotę współczesnego komunizmu, to cóż dziwić się pełnej sprzeczności polityce partii socjalistycznej wobec ruchu komunistycznego.

Jedni członkowie partii domagają się równouprawnienia ruchu komunistycznego z innymi politycznymi i ideowymi ruchami i za legalizowania w tym celu partii komunistycznej. Oskarżają nawet Polskę o uprawianie „białego teroru”. Solidaryzują się z nimi inni przedstawiciele partii i co pewien czas na łamach prasy socjalistycznej znajdujemy wywody o zalegalizowanie partii komunistycznej. Równocześnie inni a często nawet ci sami przedstawiciele P. P. S. piętnują komunistów jako płatnych agentów Moskwy, a więc obcego i wcale niezaprzyjawnionego mocarstwa, i uważają się za uprawnionych do stosowania wobec nich jaknajostrożniejszych restrykcji, do uważania komunistów za wyjętych z pod prawa.

W DNIU OTWARCIA SEJMU posłowie socjalistyczni stanęli po stronie hałasujących komunistów, których Marszałek Piłsudski polecił wyrzucić z sali, protestując przeciwko rzekomemu naruszeniu swobód poselskich.

Dnia 1 maja na Placu Teatralnym w Warszawie w krwawy sposób zlikwidowali próbę posła komunistycznego Warszawskiego utworzenia sobie drogi do trybuny i zakłócenia przebiegu manifestacji socjalistycznej. Poseł Czapiński wyjaśnia nazajutrz, że socjaliści musieli tak postąpić, gdyż mieli przed sobą agentów kominternu moskiewskiego, dążących do rozbicia frontu robotniczego, którym pod żadnym warunkiem nie można pozwolić na prowadzenie tej roboty.

Równocześnie ten sam poseł Czapiński na posiedzeniu komisji budżetowej sejmu bro ni komunistów przed zarzutem, iż są agentami Moskwy i nazywa karanie za przynależność do partii komunistycznej rzeczą szkodliwą.

A potem ci sami ludzie zarzucają np. rządowi bezprogramowość, brak stałej linii w polityce i mówią o jasnym i sprecyzowanym programie socjalizmu...

WYPADKI W DNIU 1-ym maja dały jeszcze jeden przekonujący dowód, że o legalizacji partii komunistycznej w Polsce mowy być nie może. Gdyby partia komunistyczna była zalegalizowana, gdyby miała skutkiem tego zupełną swobodę ruchów i mogła prowadzić jawnie i bez wszelkich przeszkód agitację i robotę organizacyjną, to przede wszystkim odczułaby to na własnej skórze P. P. S.

Komunizm współczesny, dyrygowany z Moskwy, nie jest ruchem ideowym, lecz zdecydowanie bojowym, dążącym do obalenia ustroju, do zamachu stanu i rewolucji. Takiego ruchu nie legalizuje, bo byłoby to to samo, jak gdyby ktoś zażądał od rządu legalizacji dla formowania armji, przeznaczonej do walki z wojskami rządowymi.

WIZYTA WŁADCY AFGANISTANU.

AMAN ULLAH, król Afganistanu w swojej podróży po Europie, odwiedziwszy Paryż, Berlin, Londyn i drugi raz Berlin, zawiątał także do Warszawy. Przyjęcie jakiegoś doznał w naszej stolicy, było skromne i tą swo-

Treść numeru:

MASAKRY MAJOWE.
AGENCI MOSKWY, CZY NIE?
WIZYTA WŁADCY AFGANISTANU.
MATURA.

PROGRAM USTROJOWY P. DMOWSKIEGO.

CZERWONE SZTANDARY.

LIST Z PARYŻA. Kazimierz Smogorzewski.

PRZEGLĄD SPRAW ZAGRANICZNYCH.
Bogusław Zabłocki.

AMERYKA. Jakób Wassermann.

KATASTROFY ŻYWIOŁOWE.
Stanisław Horwat.

PAMIĘTNIK DZIENNIKARZA. J. Krasicka.

LOTY DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

LEGENDA O PIŁSUDSKIM W LITERATURZE.
Adam Galicki.

CZARNA JÓZEFINA. A. G.

POEMATY BEZ POEZJI. Z.

POŻYCZKI KOMUNALNE.

ZA WIELE STATYSTYKI.

RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. Avil.

ŹRÓDŁO POWODZENIA JAZZBANDU.
Feliks Halpern.

KASA im. MIANOWSKIEGO. J. Kaniowa.

NAWRACANIE ŻYDÓW. J. Żeg.

UWAGI.

KWIATKI.

ją skromnością bardzo korzystnie odbijało od przesadnej i ze śmiesznością prawie graniczącej pompy, jaką roztoczono np. w Berlinie z okazji jego odwiedzin. Polska przyjeżdżającego wladcę bardzo gościnnie, okazała mu szacunek i względy, z jakich po dzień dzisiejszy korzystają głowy koronowane i dziedziczy władcy narodów. Nie było w tem wszystkim jednak żadnej przesady, podyktowanej chęcią ośnienia egzotycznego gościa. Nie wykoształiliśmy się zbyt z powodu tej wizyty i jeżeli król Aman Ullah jest rzeczywiście tym nowoczesnym wladcą, rozumiejącym kulturę europejską i pragnącym przyszczepić na grunt swojego kraju wszystko co dobre i pożyteczne jest w Europie, to niewątpliwie wspomnienia, które wywołał z Warszawy, należeć będą do najlepszych, jakie pozostaną mu z podróży europejskiej.

Z Warszawy król Afganistanu udał się do Moskwy. Wizyta ta zasługuje na uwagę, lecz nie tyle ze względów politycznych, ile ze społecznych. Niedawno w Rosji święcono dziesięciolecie rewolucji bolszewickiej. Przez tych dziesięć lat Moskwa nie przyjmowała u siebie żadnego reprezentanta najwyższej władzy jakiegokolwiek państwa. I oto traf zdarza, że pierwszym takim gościem jest król, dziedziczny samowładca — wprowadzie tylko azjatyckiego, ale wielkiego i stosunkowo silnego państwa.

Rząd sowiecki zamierza zgotować królewskiemu gościowi królewskie przyjęcie w stolicy swego proletariackiego państwa. A nawzajem król zamierza odwzajemnić się składając purpurowo czerwony wieniec na grobie największego z pośród pogromców głów koronowanych — towarzysza Lenina.

Tak to się plecie na tym bożym świecie...

MATURA.

JAK DALECE czynniki rządowe nie liczą się z głosem opinii publicznej — tego najlepszym dowodem jest zagadnienie egzaminów maturalnych. Niema roku, by wszystkie chyba bez wyjątku pisma nie zajmowały się tem zagadnieniem, poddając je krytycznej ocenie, a jednak mimo to wysokie władze z Bagateli przechodzą nad tem do porządku i każda wiosna przynosi namowo zwykły szereg dręczących emocji, wprowadzających na tygodnie całe dziesiątki tysięcy młodych dusz i umysłów w wielce niepożądany stan podrażnienia i niezdrowego podniecenia. Być bardzo może, że słuszność jest po stronie tych władz i że mają nierację liczni krytycy, ujmujący zagadnienie po laicku, życiowo, a bez należytej fachowości. Ale w takim razie jakieś autorytatywne wyjaśnienie stanowiska w sprawie, tak żywo interesującej olbrzymią część społeczeństwa, powinno przynajmniej stworzyć pozory tego, że M. W. R. i O. P. wsluchuje się jednak w ten tak wybitnie zgodny i jednomyślny chór głosów krytycznych. I jeżeli mówimy o lekceważeniu opinii, to nie

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE —
POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

Program ustrojowy Romana Dmowskiego

II.

Dmowski staje na stanowisku ustroju parlamentarnego. Chce być politykiem realnym i nie bierze pod uwagę rzeczy zapoczątkowanych we Włoszech, w Hiszpanii i na Litwie. Twierdzi, że żadne państwo w Europie nie może zrywać z ustrojem parlamentarnym, uważa to za sprawę, co do której nie może być innej opinii. Uznaje łaskawie próby Mussoliniego, ale większej wagi im nie przypisuje. Widocznie więc mylili się ci wszyscy, którzy twórcę Obozu Wielkiej Polski uważali za zwolennika faszyzmu.

Jest jednak Dmowski za ograniczeniem wszechwładzy parlamentu, a za zwiększeniem władzy głowy państwa. Rozwiązanie tego dylematu proponuje takie: Głowa państwa mianuje szefa rządu i ministrów, a w razie potrzeby, gdy uzna to za stosowne, dymisjonuje poszczególnych ministrów lub nawet cały gabinet. Sejm w tych sprawach nie ma głosu. Tylko jeden raz w roku sejm może obalić rząd i nie dopuścić do władzy rządu zamianowanego przez Prezydenta, jeśli mu się ten rząd nie spodoba. Tem świętem dla sejmu jest sesja budżetowa. Odrzucenie przez sejm budżetu oznaczałoby bowiem brak zaufania do gabinetu, a ponieważ bez budżetu nie można rządzić, rząd musiałby ustąpić, a nowy rząd musiałby być powołany przez Prezydenta w porozumieniu z sejmem, bo inaczej sejm po raz drugi odrzuciłby budżet. Z chwilą jednak gdy budżet został uchwalony, sejm przestał mieć wszelki wpływ na rząd, na jego politykę i skład. Prócz tego projekt Dmowskiego przewiduje, że nie może być żadne nowe prawo ustanowione, ani żadne stare zmienione bez uchwały parlamentu. Poza to żąda jeszcze dla posłów nietykalności i swobodnego wyrażania opinii o rządzie oraz prawa interpelacji.

Tak w zarysie przedstawia sobie p. Dmowski stosunek rządu do sejmu i wzmocnienie władzy głowy państwa. Przyjrzyjmy się temu bliżej: A więc po uchwaleniu budżetu rząd w zasadzie jest już ze strony sejmu nietykalny aż do upływu okresu budżetowego. Ponieważ możnaby jeszcze konstytucyjnie przewidzieć, że budżet musi być w pewnym okresie czasu uchwalony na cały rok zgóry, nietykalność ta trwałaby w teorii okrągły rok. Ukrócenie wszechwładzy sejmu jest tutaj jednak tylko pozorne. Głowa państwa musiałaby zamianować w rezultacie taki rząd, któryby zgodził się na warunki budżetowe sejmu. Mielibyśmy więc wpływ sejmu na rząd w miejscu najniebezpieczniejszym, bo za pośrednictwem budżetu. Najstaremiej opracowany budżet sejm mógłby przewrócić na nice i postawiłby na swoim, bo rząd, któryby wzbrańał się zaakceptować taki sejmowy budżet musiałby odejść.

Z drugiej strony znowu nazajutrz po uchwaleniu budżetu Prezydent mógłby dymisjonować rząd i powołać nowy według swego uznania, a ten znowu mógłby nie wykonywać wszystkich punktów budżetu. Na to z kolei sejm mógłby odrzucać wszystkie przedłożone przez ten rząd projekty ustawodawcze.

Można na to powiedzieć, że nie trzeba odrzucać przewidywać rzeczy najgorszych, ale doświadczenie niedawnej przeszłości uczy nas właśnie najgorsze rzeczy przewidywać. Projekt Dmowskiego uniezależnienia władzy wykonawczej od ustawodawczej krytyki nie wytrzymuje i żadnej zasadniczej zmiany do dawnego stanu rzeczy nie wprowadza. Ograniczenie wszechwładzy sejmu jest w tym projekcie tylko pozorne, a co gorsza, projekt ten poprostu narzuca na każdym kroku możliwość konfliktów pomiędzy rządem i sejmem i stwarza tego rodzaju warunki, że konflikty te musiałby w każdym wypadku mieć przebieg ostry. Łada drobiazgi łatwo mógłby doprowadzić do stanu wojny.

Na wypadek takich konfliktów Dmowski przewiduje dla Prezydenta prawo rozwiązywania sejmu. To także nie jest lekarstwo skuteczne, a stosowane zbyt często musiałoby spowodować opłakane skutki.

Oprócz parlamentu Dmowski chce mieć jeszcze senat całkowicie równouprawniony z parlamentem.

Nasza obecna konstytucja kryje w sobie bardzo wiele możliwości wpływania ciał ustawodawczych na organa władzy wykonawczej i jak się okazało stać się może źródłem wielu konfliktów pomiędzy rządem a sejm-

mem. Ale to wszystko jest niczem w porównaniu z temi możliwościami oddziaływania władzy ustawodawczej na wykonawczą i z temi możliwościami konfliktów, jakich źródłem musiałby się stać projekt ustrojowy p. Dmowskiego. Rząd, który jakimś cudem ocaliłby siebie i swój budżet w sejmie, znalazłby się wobec drugiej przeprawy w senacie, tem niebezpieczniejszej, że wobec senatu odpowiadałby za sejm i za siebie. Senat bowiem ewentualnie swoje porachunki z sejmem wyrównałby na skórze rządu. A że takie porachunki byłyby nawet w przy najidealniejszym zbiegu okoliczności, o to stara się Dmowski w swoim projekcie ordynacji wyborczej, o którym oddzielnie pomówimy. Nie może bowiem być mowy, zwłaszcza w naszych warunkach o idealnie zgodnej współpracy pomiędzy dwoma ciałami ustawodawczymi, wyposażonymi w identyczne prawa, a wybranymi na odmiennych zasadach. Konflikty pomiędzy temi dwoma izbami byłyby na porządku dziennym, a wszystko skrupiałoby się na rządzie, który stałby się pomiędzy młotem i kowadłem, nigdy niepewny z której strony otrzyma cios i za co.

W gruncie rzeczy reforma ustroju parlamentarnego, jaką projektuje p. Dmowski, idzie w kierunku powiększenia zakresu wpływu ciał ustawodawczych. Stwarza bowiem dwie izby równouprawnione, z których każda w równym stopniu może robić trudności rządowi jeżeli nie zechce stosować się do jej wymagań. To też p. Dmowski do ostatnich szczegółów swojego planu nie rozwija, a nad zarysowanymi już w tym ogólnikowym szkicu wątpliwościami przechodzi przy pomocy frazesu o wzroście świadomości narodowego i obywatelskiego w społeczeństwie. Na taki wzrost cnót obywatelskich w społeczeństwie, by przy tym skomplikowanym ustroju panowała harmonia, przyjdzie nam zapewne jeszcze ze sto lat czekać, tymczasem zaś projekt p. Dmowskiego nazwać trzeba fantastycznym i nie nadającym się do dyskusji. O wiele realniejsze są już koncepcje np. Mussoliniego, chociaż p. Dmowski odmawia im jeszcze praktycznej wartości.

K. Tyr.

O czystość języka

Znowu z okazji święta narodowego poruszyć musimy, jak już w roku zeszłym, fatalny błąd językowy, groźnie rozpowszechniony wogóle, ale szczególnie uderzający w oczy i uszy właśnie w przededniu tradycyjnego obchodu majowego. Bo rzadko słyszy się i widzi z taką częstotliwością powtarzaną i drukowaną na plakatach, zaproszeniach i w pismach datę, jak właśnie w tym okresie. Na porządku dziennym są wtedy zwroty takie, jak: „3 maj”, „w przełomowym dniu 3-go maja”, „z pamiętnym dniem 3-go maja”, „uroczysty dzień 3-go maja” i t. p. Tak piszą pisma, to głoszą plakaty i nalepki, rozpowszechniane przez uroczyste komitety, tak wołają odezwy, ba, tak mówią mówcy na akademjach, a nawet nauczyciele na uroczystych obchodach do swych uczniów!

Jeżeli żargon ten, zapożyczony z obcych języków, głównie z niemieckiego, tak się rozpowszechnił w mowie potocznej, to nie wynika z tego jeszcze, że należy zaniechać walki z nim. A chyba najlepszym środkiem walki byłoby stosowanie prawidłowego sposobu mówienia i pisania właśnie przy okazji manifestacji w dniu święta narodowego.

Ustalamy zatem, że mówić należy: „3 maja”, „w przełomowym dniu 3-cim maja”, „z pamiętnym dniem 3-cim maja”, „w uroczysty dzień 3-cim maja”, bo w języku polskim przy określeniu daty liczebnik porządkowy stosuje się w swym przypadku do przypadku, w jakim użyty jest wyraz lub domyślnie wyraz „dzień”, a nie do nazwy miesiąca, która zawsze i niezmiennie używana jest w przypadku drugim.

Język nasz jest między wieloma innymi i o tę jeszcze subtelność bogatszy od niemieckiego, że nie stwarza absurdu, jakoby było np. 31 majów w roku — absurdu, który pozornie tylko zresztą zawarty jest w niemieckim sposobie mówienia. Pozór ten wynika tam jedynie z ubóstwa końcówek deklinacyjnych, bo i w niemieckim „am 3. Mai” ozna-

Majowe święto robotnicze i czerwone sztandary

Niezmiernie charakterystyczne są cyfry, dotyczące udziału robotników w manifestacjach w dniu 1-y maja.

W Łodzi np. czynione były bardzo rozległe przygotowania, aby manifestacje w tym dniu wypadły jaknajbardziej imponująco. W rezultacie tych przygotowań w pochodzie przez miasto wzięło udział około 10 tysięcy osób, ale robotników stosunkowo bardzo mała ilość porzuciła pracę, aby dzień ten świętować. Według sprawdzonych informacji w żadnym zakładzie wielkiego przemysłu w Łodzi praca nie doznała poważniejszego przerw, a w największych zakładach wogóle nie odczuło skutków pierwszomajowych manifestacji. W zakładach Scheiblera i Grohmana, w których pracuje około 10 tysięcy robotników zaledwie około 80 (osmdziesiąt) nie stawilo się do pracy, w zakładach firmy Poznańskich jeszcze mniej, bo zaledwie coś dziesięciu na około 6 tysięcy zatrudnionych. I tak było prawie we wszystkich fabrykach. Również tramwaje tylko częściowo ograniczyły ruch z powodu niestawienia się części robotników.

W pochodzie łódzkim brały udział przeważnie oficjalne reprezentacje partii socjalistycznej, jak zarządy organizacji dzielnicowych, organizacje sportowe młodzieży, przedstawiciele samorządu, który znajduje się w rękach socjalistów oraz organizacje robotników miejskich, zależnych od samorządu.

Dzień 1-y maja miał być świętem ogólnie robotniczym i był nim przez pewien czas. W miarę jednak jak partje socjalistyczne zaczęły nadawać mu charakter wyłącznie święta partyjnego, coraz więcej organizacji robotniczych rezygnowało z brania udziału w tym obchodzie. Dzisiaj 1-szy maja jest już tylko wyłącznie świętem partji socjalistycznej, a zwłaszcza w Polsce i dlatego z roku na rok zainteresowanie dla tego dnia maleje w masach robotniczych. Maleje jeszcze i z tego względu, że ostatnio socjaliści polscy organizują pierwszomajowe obchody wspólnie z socjalistami żydowskimi i niemieckimi. Tamte partje jednak nie pomijają tej sposobności, by nie manifestować swojej narodowościowej odrębności. Na robotnika polskiego nie działa to przyciągająco.

W tym roku w dniu 1-y maja wywieszono na gmachach magistratów niektórych miast czerwone sztandary socjalistyczne. Dalecy jesteśmy od identyfikowania sztandaru P. P. S. ze sztandarem komunistycznym i ze sztandarem Rosji komunistycznej. Komunizm wyszedł z socjalizmu i od socjalistów zapożyczył swój czerwony sztandar. Trudno wymagać od socjalistów, aby dlatego zmienili kolor swojego. Trzeba im zresztą przyznać, że jak mogą, to starają się sztandar swój odróżnić od komunistycznego, umieszczając na nim srebrne inicjały „P. P. S.” w okazałych rozmiarach tak aby zdala były dostrzegalne. Należałoby jednak wymagać od nich, aby gmachów miejskich nie uważali za gmachy partyjne, nawet jeżeli dzięki wynikom wyborów samorządowych zdobyli w ciałach samorządowych większość i sprawują władzę administracyjną w mieście. Przez to samo bo wiem miasta te nie stały się miastami socjalistycznymi, ani ustroj socjalistyczny nie został w nich wprowadzony. Władzę zwierzchnią nadal nad temi miastami sprawuje państwo i na gmachach miejskich nie może być w żadnym wypadku miejsce dla innych barw, jak tylko państwowych i miejskich.

Najwłaściwszym byłoby uregulowanie tej sprawy raz na zawsze w drodze przepisu ustawowego.

czą właściwie „am dritten Tage des Monats Mai”. Język francuski podkreśla ten szczegół, iż liczba oznacza dzień, a nie miesiąc, wyraźniej, choć nie tak wyraźnie jeszcze jak polski: po francusku bowiem w zastosowaniu do daty nie używa się liczebnika porządkowego i mówi się nie „le troisième mai”, lecz „le trois mai”.

Rzecz jest tak łatwa i prosta, że naprawdę niema najmniejszej potrzeby godzić się biernie z tem masowem kaleczeniem języka i można wymagać od inteligencji przynajmniej, by manifestowała swój patriotyzm nie tylko przez urządzenie pochodów, ale też przez należyte poszanowanie i kult mowy ojczystej.

tyłe dlatego, że tryb udreki maturalnej nie ulega żadnej poprawie, ile raczej właśnie dla owego pogardliwego milczenia, które jest jedyną odpowiedzią ministerstwa na wszystkie żale i utyskiwania.

Zatem laicy, którzy nie potrafią ujmować problemu tego inaczej, jak tylko życiowo i według miary swej nienadwężonej rutyny i doktryną inteligencji, nie mają żadnej podstawy do zmiany swego poglądu, iż mamy w maturach do czynienia z jakimś niepojęciem i niewiadomo dłaczego uratowanym przed zagładą przeżytkiem, snąc wyjątkowo opornym, skoro ostał się nawet szczególnie wybujałym u nas prądem reformatorskim i nowatorskim.

TRZEBA USTALIĆ kilka tez niewątpliwych. Pierwsza: że zadaniami szkoły średniej nie jest wypuszczać w świat ludzi wszechstronnie wykształconych, lecz tylko mających dobrze przygotowany grunt do przyjęcia gruntownego wykształcenia. Zatem powołaniem szkoły średniej jest dać swym wychowankom podstawowe pojęcia we wszystkich dziedzinach wiedzy, nauczyć ich pojmować, wzbudzić w nich zainteresowanie i zamiłowanie — i egzamin polegać powinien tylko na stwierdzeniu tego, w jakiej mierze każdy poszczególne uczeń pod względem tak pojętego przygotowania okazał się zdolnym czy to do dalszego kształcenia się, czy też do życia praktycznego.

Z tego wynika teza druga: że świadectwo o ukończeniu szkoły nie powinno być jednocześnie biletem wstępu do uczelni wyższej. Albo kandydat do wszechnicy powinien w interesie selekcji być już w szkole samej poddany w zależności od wydziału naukowego, na jaki się wybiera, pewnym egzaminom specjalnym, albo powinien złożyć je przed wstąpieniem do wyższej uczelni. Takie egzaminy dodatkowe nie mogą być identyfikowane z obecnymi egzaminami maturalnymi, bo i dobór przedmiotów odpowiadałby własnym upodobaniom i zdolnościom egzaminowanego, i zakres badania, jako będący nie kontrolą przeszłości, lecz odskocznią w przyszłość, byłby zupełnie inny. Ani surowszy, ani łagodniejszy — tylko inny.

Trzecia teza: niema ucznia, którego przy dzisiejszym systemie egzaminacyjnym nie było można nie „ściąć”, o ile się tego chce. Zatem fikcją i złudzeniem jest, że świadectwa maturalne otrzymują tylko prawdziwie najlepsi, bo wszyscy co do jednego zależni są zarówno od własnych nerwów, jak od dobrej woli egzaminatorów, jak wreszcie od przypadku. Czyli: hazard, wymagający więcej pomysłowości i życiowego sprytu, aniżeli istotnego przygotowania naukowego.

Piszemy te słowa bez pretensji do fachowego ujęcia zagadnienia, ale życiowo i logicznie nie możemy w ujęciu powyższem dopatrzyć się usterek lub grubszej omyłki. Mniemamy bowiem, że sama zmiana charakteru świadectw maturalnych i związanych z nimi uprawnień tak dalece wyłączałyby emocjonujący współczynnik ambicji rodzicielskiej, iż i subiektywnie młodym duszom uczni w prostej konsekwencji oszczędzoneby były wstrząsienia i wzruszenia o tragicznym nieraz napięciu i, jak ucza nas smutne doświadczenia, tragicznych często epilogach.

Okres egzaminacyjny rozciąga się na długi szereg tygodni, bo należy doń właściwie cały 3-ci tercjał z jego wysiłkiem o dopuszczenie do egzaminów. A taki szereg tygodni niepewności, oczekiwania, stałego napięcia i głębokich wzruszeń nie może nie oddziaływać ujemnie na system nerwowy młodzieży, zwłaszcza pozbawionej równowagi w postaci stałych ćwiczeń fizycznych, lub sportowych. Hazard egzaminacyjny zaś, rachuba na przypadek, kombinacje w celu wykrcenia się stanowią stanowczo moment o wątpliwej wartości moralnej. Gdybyż wzamian przygotowania do egzaminów zapewniali ekwiwalent w postaci naprawdę ugrutowanej i pogłębionej wiedzy! Ale to wie przecie każdy z własnego doświadczenia, że czego nie umiał przed egzaminem i tylko dla egzaminu się nauczył, tego nazajutrz po egzaminie już znowu nie umie. A co ważniejsze jeszcze, umieć często nie potrzebuje, bo przez całe życie nigdy już może z tem się nie zetknąć.

Cóż tedy przemawia za tak uporczywym przytrzymywaniem się tego fatalnego, bo i szkodliwego i niecelowego systemu, że żadną miarą odeń odstąpić nie chcemy? Czyż nie od tego raczej należałoby zacząć działalność reformatorską, zamiast w jej rozpędzie zrywać właśnie z licznymi dobrymi zasadami systemu dawnego?

Listy z Paryża

Dwie nowe książki o Polsce

(Od własnego korespondenta „Prawdy”).

Paryż, 21 kwietnia.

Bibliografia francuskich książek o Polsce z bogactwami o trzy tomy wrażeń z Polski. Nie są to książki doniosłe, ale wszystkie o- wiane są szczerą i żywą do nas sympatją. Nie mogą więc nam być obojętne.

P. Karol Delvert jest profesorem w jednym z liceów paryskich. Jest to człowiek młody; dzielnie się bił w czasie wojny jako kapitan; wydał wówczas dwa tomy wrażeń z frontu, które zrobiły mu nazwisko w literaturze. W roku 1923 odbył po Polsce podróż z wycieczką nauczycieli francuskich. Dopiero w cztery lata później udało mu się ogłosić swe wrażenia w książce „La vivante Pologne” (Editions Spes, 1927; str. 188 in-16). „Opisuje tam to, co widział w Krakowie, na Śląsku Górnym, w Poznańskim, w Warszawie, na Litwie, we Lwowie, w Karpatkach i w Tatrach”; zaleca wszystkim swym rodakom, aby częściej zwiedzali Polskę, ten „kraj o wspaniałej żywotności” (s. 8).

Opowiadając barwnie swą podróż po Polsce, autor przeplata opowiadanie informacjami z życia politycznego i gospodarczego Polski. Jest tu dużo nieścisłości, a przede wszystkim wiadomości te są już mocno nieaktualne (z roku 1923!). Zadużo rozpisyuje się p. Delvert np. o sprawie żydowskiej, ale to wina raczej jego rozmówców. Trzeba umieć rozmawiać z cudzoziemcami zwiedzającymi Polskę. Nie chcemy przez to powiedzieć, że trzeba przed nimi niektóre sprawy zakrywać. To byłaby polityka strusia. Ale trzeba pomiędzy kwestiami ustalić jakąś hierarchię, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że cudzoziemiec po raz pierwszy do Polski przyjeżdżający nie wie o nas nic, lub prawie... Kiedy taki cudzoziemiec natknął się na s. p. ks. Kazimierza Lutostawskiego, to musiał odnieść wrażenie, że w Polsce wszystko od żydów zależy.

Swą miłą książeczkę zamyka p. Delvert rozmową ze s. p. Kazimierzem Morawskim. Ten wielki uczonec, zapytany, co myśli o sytuacji politycznej w Polsce, odpowiedział:

— Co myśleć? że za dużo mamy partii w Polsce. Musimy pracować. I trzeba nam człowieka, któryby umiał nami kierować... (s. 177).

Słowa te dziś już nie są tylko pobożnym westchnieniem.

„Vive la Pologne, Monsieur!” Ten historyczny okrzyk Floquet'a użył p. Peytavi de Faugères za tytuł dla swej książki, jaka właśnie wyszła nakładem „Revue Mondiale” (str. 190 in-16). P. Peytavi jest dobrym dziennikarzem paryskim, specjalizującym się w kwestjach polityki zagranicznej. W roku zeszłym, na jesieni, bawił w Polsce i ogłosił w kilku dziennikach szereg korespondencji. Powróciwszy do Paryża wygłosił odczyt o Polsce na „białym” zebraniu jednej z Iłż Wielkiego Wschodu, której jest „przewieleb- nym”.

W książce swej zebrał swoje artykuły i notatki, podzieliwszy je na trzy części: wewnętrzne sprawy polskie, wrażenia z objazdu po Polsce, oraz stosunki Polski z sąsiedzami. Dokumentacja książki jest pośpieszna i niekompletna, ale jej ton świadczy o serdecznej sympatii autora dla Polski. Słusznie podkreśla zmianę zaszłą w nastrojach lewicy francuskiej do Polski, jeśli porównać czasy wojenne i powojenne. W kołach tych „sprawa polska przestała być interesującą”, kiedy Polska została odbudowana; zaczęto nawet oskarżać Polskę, że jest „źródłem niepokojów” w Europie; przyczynę tej zmiany autor widzi przedewszystkiem w tem, że wiele osób zaczęło się litować nad losem Niemiec, że „pacyfiści francuscy gotowi byli dzieło germanizacji na zachodnich kresach Polski uznać za niemiecki tytuł własności”... Takie stanowisko byłoby „skandaliczne” — powiada p. Peytavi — gdyby nie wynikało z „jakk najlepszych intencji i z ignorancji”. Trzeba więc „pacyfistów francuskich” poinformować. I w tym celu autor wydał swą książeczkę.

Oby ją wszyscy przeczytali, oby ich przekonał p. Peytavi de Faugères, który w Polskę wierzy. „La Pologne vit et vivra” — pisze w konkluzji i w słowach gorących potępia „ciasny, tępy i kłamliwy germanofizm” tych, którzy nam we Francji i poza Francją szkodzą usiłując.

Paryska filja księgarni Gebethnera i Wolffa, znajdująca się pod ruchliwym kierownictwem p. Aleksandra Krawczyńskiego, wiele już usług Polsce oddała. Świeżo wy-

szła jej nakładem książka D-ra René Martial'a p. t. „La Pologne jadis et de nos jours” (str. 220, in-8”).

Dr. Martial, socjolog francuski, zwiedził Polskę w roku zeszłym. Ponieważ dużo już w życiu swem podróżował i ma wyrobiony smak artystyczny, umiał na Polskę patrzeć i — co ważniejsze — umiał wrażenia swe spisać krótko, a zawsze trafnie. Jego opis czyta się z prawdziwą satysfakcją, tembardziej, że autor zilustrował książkę kilkudziesięcioma własnymi rysunkami.

Naturalnie, podobał mu się Kraków i Tatrzy; podobał mu się również Lwów, „miasto szarmonizowanych przeciwieństw”; podobały mu się Poznań i Gniezno, a także kraj kaszubski. Co do Warszawy, to pierwsze wrażenie „nie jest świetne”: nasz podróżnik był „rozczarowany” (s. 81), ale, kiedy zwiedził stolicę, stwierdził, że „Warszawa — to kocietka ukrywająca swoje czary” (s. 86). Opisuąc zwiedzanie miasta autor porównuje je z tem, co już widział gdzieindziej, przeplata swe opowiadanie wspomnieniami historycznymi, ale unika naogół polityki.

Swe ogólne wrażenia z Polski formułuje na ostatnich stronach książki: są one dodatnie. Nakreśliwszy „ogromne trudności”, jakie musieliśmy pokonać, stwierdza, że „odbudowa jest na najlepszej drodze i w dobrych rękach”. „Polacy — zauważa — wola dyscyplinę autorytetu od rozluźnienia zbyt- niej wolności” (s. 205). O rasie polskiej pisze Dr. Martial, że jest „piękna, zdrowa i mocna”. Naszkicowawszy z niekłamana sym- patją dominujące cechy polskiego charakteru, autor apeluje do czytelników francuskich aby „kochali tego cennego przyjaciela, jakim jest naród polski”.

Kazimierz Smogorzewski.

SAMOLOT DLA WSZYSTKICH.

Ford buduje nowy typ samolotu masowego. Jak zawsze, każdy szczegół nowej maszyny jest u niego planowo przygotowany i wypróbowany. Pierwszy większy próbnny lot próbnego samolotu skończył się jednak nie- szczęśliwie. Samolot się rozbił, a pilot utra- cił życie na Florydzie.

Ford oświadcza, że zwinął tutaj zbiornik benzyny, ale sam typ samolotu jest doskona- ły, a jego inżynierowie będą dalej pracować nad skonstruowaniem nowego motoru Diesla, który będzie zdolny przewyższyć wszelkie trudności transatlantycznych podróży. Ford sam jeszcze chciałby polecieć do Europy na jednym ze swoich wielkich samolotów — któ- regoś dnia, ale jeszcze nie w tym roku.

Platowiec Forda ma z czasem stać się tak tanim, jak samochódzik i tak silnym, by mo- żna gdziekolwiek i regularnie na nim latać.

Ford lubi się chwalić, ale zazwyczaj po dokonaniu czegoś. Zatem, Ford powietrzny musi istotnie być dość daleko posunięty w konstrukcji i kalkulacji. Za kilka lat wystar- czy jednej dobie, aby przetrwać z Europy do Nowego Jorku.

Ale kto będzie latał na tych aparatach? Czy się to będzie kalkulować? Otóż już dzia- siaj może się lotnictwo opłacać. Minister handlu Stanów Zjednoczonych Hoover, oświad- cza, że jedna trzecia linii lotniczych w Ame- ryce nie tylko jest opłacalna, ale daje całkiem przyzwoite oprocentowanie kapitału, bez ja- kichkolwiek subsydjów rządowych. Przy- tem niektóre linie lotnicze stale obniżają ta- ryfę przelotową. W Stanach należy 90 proc. aparatów lotniczych do prywatnych przedsię- biorstw i jednostek; około 200 lotnisk założo- no w ubiegłym roku. Rząd Stanów Zjedno- czonych ogranicza się do funkcji pomocni- czych, jak wydawnictwo map, oświetlanie szlaków lotniczych i nadzoru nad wyszkole- niem przyszłych pilotów.

A więc Ford w obłokach staje się real- nym współzawodnikiem Forda na szosach.

Co zrobicieś

dla rozpowszechnienia

„PRAWDY”?

PRZEGLĄD
POLITYKI MIĘDZYKRAJOWEJ

Wybory we Francji rozstrzygnięte zosta- ły ostatecznie w ubiegłą niedzielę. Blok stronnictw rządowych zdobył silną więk- szość w nowym parlamencie a ponieważ nie tylko, że nic nie straciły, lecz nawet zyska- ły w tych wyborach grupy radykalne, które dotychczas z rządem współpracowały, p. Poincaré zdobył wspaniałe dowód, że obrzy- mia większość wyborców jest po jego stro- nie i że całkowicie akceptuje stosowane przez niego metody rządzenia, idące bardzo wyraźnie w kierunku wzmocnienia autory- tetu władzy wykonawczej i uniezależnienia rządu od kapryśnej woli każdorazowej więk- szości parlamentarnej.

Wybory francuskie przyniosły bardzo dotkliwą porażkę skrajnej rewolucyjnej le- wicy i skrajnej nacjonalistycznej prawicy. Walne zwycięstwo odniosły stronnictwa u- miarkowane, zwłaszcza stojące na gruncie narodowym i republikańskim. Socjaliści, dzięki układom z innymi grupami, utrzymali dotychczasowy swój stan posiadania, w isto- cie jednak mają do zanotowania niewątpli- wą porażkę, gdyż jako stronnictwo opozy- cyjne powinny — gdyby opozycja ich znaj- dowała oddźwięk w masach — wykazać się jakimś sukcesem, a powtórnie utracili manda- ty w najważniejszych okręgach, w których kandydowali czołowi przywódcy francuskie- go socjalizmu. Okazuje się, że opozycja francuskich socjalistów przeciw rządowi p. Poincaré, poza szeregiem wyznawców par- tiji, nikomu do przekonania nie trafia, że wszystkie ich występy w obronie zagrożonej jakoby przez rząd p. Poincaré demokracji nie wywołały najmniejszego wrażenia i ni- kogo nie przekonały. Jest to bardziej nie- pokojące niż nawet klęska, bo po chwilowej przegranej można zawsze mieć nadzieję na odegranie się. Tutaj zaś socjalizm francuski natrafił na kamienną obojętność mas, hasła jego już nie działają, nie budzą ani nienawi- ści ani sympatii. Nawet porażka komun- istów nie przyniosła socjalistom francuskim żadnej korzyści. Ani jednego mandatu z tych, które utracili komuniści, socjaliści nie zdobyli. Kto wycofał się z szeregów komu- nistycznych, poszedł od razu dalej na pra- wo, nie zatrzymując się w obozie socjalisty- cznym. Pod tym względem wybory francus- kie są wielce charakterystyczne.

Pojawiają się już pogłoski, że p. Poincaré, zyskawszy tak silną przewagę w parlamen- cie, prowadzić będzie politykę jeszcze bar- dziej zdecydowaną. Pisze się nawet o za- mierzonych jakoby rekonstrukcji gabinetu, przyczem teki musieliby złożyć ministrowie, reprezentujący stronnictwa, stojące na lewo od Bloku Narodowego, który stanowi wła- ściwą podstawę i oparcie parlamentarne o- becnego szefa rządu, a który obecnie bez niczyjzego poparcia posiada większość miejsc w parlamencie. Sądźmy, że pogłoski te są przedwczesne. Jakiegoś nagłego zwrotu na prawo nie będzie we Francji. Wybory nie wykazały, by w społeczeństwie taki zwrot się dokonał, a Poincaré dzisiaj także już silnie oddalił się od nieprzejednanego praw- cowca Poincaré'go z lat wojny i pierwszych lat powojennych.

Wybory francuskie wykazały, że nastąpił w społeczeństwie zwrot, ale ani na prawo, ani na lewo, lecz zwrot w kierunku koncen- tracji ku środkowi. Zjawisko to obserwuje- my w takich rozmiarach bodaj, że po raz pier- wszy po wojnie. Dotychczas zawsze i wszę- dzie górę brały kierunki skrajne: raz lewi- ca, drugi raz prawica bojowa. Żywioły opa- nowane, zdolne i chętne do pracy pozytyw- nej, do słowa nie dochodziły. Hasłem była walka. Kto nie chciał walczyć, musiał o- puszczać plac, bo mógłby przeskądzać wal- czącym. Łaskawie natomiast pozwalano tym żywiołom płacić i ponosić wszystkie koszty tych walk.

Większość prasy polskiej przemilczała podaną przez P. A. T-a, depeszę z Rzymu. Depesza ta brzmi:

„11 pociągów specjalnych, wiozących 10 tysięcy robotników medjołańskich, udających się do Rzymu w celu złożenia hołdu szefowi rządu, przybyło wczoraj rano do stolicy Włoch. Tak władze, jak organizacje syndy- kalistyczne oraz ludność okazały przybyšom jaknajserdeczniejsze przyjęcie, witając ich uroczystie na dworcach i urządzając manife- stacje na ulicach. Mussolini przyjął robotni- ków w Colosseum, dokąd udali się oni, usze- regowani w kilka kolumn. Robotnicy wypeł- nili cały olbrzymi amfiteatr. Ponad głowami widać było całe morze sztandarów. Około go- dziny 13-ej Mussolini ukazał się na podjum. Szefowi rządu towarzyszyli ministrowie i przedstawiciele władz. Niestłuchanie entuzja- styczne manifestacje trwały czas dłuższy. Muzyka grała „Giovinezze”. Następnie Mus-

solini zabrał głos, stwierdzając, że po raz pierwszy w historii Włoch i świata całego tak wielka ilość robotników zapragnęła zbliżyć się do szefa rządu. Szef rządu faszystow- skiego, przeciwko któremu napróżno wystę- pują jego wrogowie, cieszy się z żywotności tej manifestacji. Jest ona wynikiem tego, że jeszcze żaden system rządów nie zwracał się do mas robotniczych z tak głębokim i pełnym uczuciem braterstwa, jak system faszystow- ski. Następnie Mussolini przypomniał, że ta- szyżm troszczy się o domy dla robotników, wprowadził 8-godzinny dzień pracy, posta- wił na równym planie kapitał i pracę, wresz- cie stworzył ustawodawstwo pracy. Mussoli- ni dodał, że celem, do którego dąży całą siłą, jest zapewnienie pracy robotnikom, zwiększe- nie ich dobrobytu, podniesienie ich moralnie i intelektualnie. Mowa premiera przerywana była wielokrotnie entuzjastycznymi oklaskami, a po zakończeniu jej zebrani urządzili nie- zmiernie gorącą owację, wśród której Musso- lini opuścił Colosseum”.

Manifestacja ta została niewątpliwie zor- ganizowana, bo takie rzeczy muszą być or- ganizowane, ale rozmiary jej każą zgóry od- rzucić podejrzenie, by manifestacja ta miała być specjalnie zaaranżowana. Gdyby w masach robotniczych włoskich Mussolini nie cieszył się sympatjami, rzecz taka nie dała- by się zrobić, a już na pewno nie dałaby się zrobić w Medjolanie, który jest środowie- kiem najbardziej uświadomionego robotnika włoskiego.

Jest to zresztą pierwsza w tak wielkich rozmiarach manifestacja robotnicza na cześć Mussoliniego — gdyby faszyci chcieli urzą- dzać potemkinady, byłiby to już dawniej czynili — był bowiem czas, gdy takie rze- czy byłyby się im bardzo przydały. Trzeba więc przyjąć, że manifestacja ta była obja- wem prawdziwej sympatii dla Mussoliniego w sferach robotniczych. Robotnicy wło- cy mieli sposobność przekonać się, że rząd Mussoliniego lepiej i skuteczniej broni ich najżywniejszych interesów niż jakakol- wiek partja polityczna, mieli sposobność przekonać się, że nieprawdziwe są zarzuty, jakoby Mussolini nie miał nic lepszego do roboty jak tylko „sprzedać robotników w niewolę kapitalistom” — budzi się więc wśród nich zaufanie do jego osoby i jego me- tod rządzenia państwem.

Bogusław Zabłocki.

Książki
do
WYBORU

Każdy czytelnik „Prawdy” może otrzymać bezpłatnie jedną z po- niżej wymienionych książek

CZARNA PANI
SIOSTRA CARMEN
W podziemiach Kartaginy

Są to trzy powieści Morczyńskiego, tego najgłośniejszego i najwięcej czy- tanego autora polskiego

Sto milionów w zlocie
(powieść Farrera)Siedem Sióstr
(powieść Karin Michaelis)

Warunki otrzymania bezpłatnie jednej lub wszystkich tych ksią- żek — patrz ogłoszenie na 7 stronie

A M E R Y K A

PUSTYNIA I JEJ OSOBLIWOŚCI.

Pierwsze, co Europejczyka wprawia w zdumienie, to rozmiary. Ma się uczucie, że należałoby inaczej nastawić oko. Kąt widzenia i zdolność dostrzegania zależne są bowiem z wszelką pewnością od charakteru krajobrazu do którego oko od generacji przywykło i do którego się dostosowało. Niezmiernie płaszczyny amerykańskiego kontynentu dały przysłowiową ostrość wzroku Indianina i farmera amerykańskiego. Derżyło mnie w Ameryce, że także i w miastach mężczyźni mają przeważnie spojrzenie bardzo mocne, utkwiłone prosto przed siebie, a nawet w dal i o wiele ostrzejsze niż u nas. Jest to przedewszystkiem właściwość fizyczna, ale niewątpliwie wywierac musi pewien wpływ na psychikę. U nas ludzie patrzą, tam spoglądają — różnica jest taka, jak między myślą i działaniem.

Jadąc z Kansas-City do Nowego Meksyku przez pustynię, na której przebycie po ciąg kurierski potrzebuje pięćdziesięciu godzin, odczuwa się podziw połączony z jakimś przestachem i rozumie się melancholiję tych emigrantów, którzy jeszcze w połowie ubiegłego stulecia ciągnęli przez tę pustynię całemi taboretami, aby dostać się do wyznaczonych im okolic, które miały się stać ich ojczyzną. Srebrnoszara ziemia porośnięta jest kępami ostrej trawy i krzaku Yuucc. Nic więcej na niej nie rośnie. Nie widzi się ani jednego drzewa, ani domu, ani zwierzęcia. Potężne stada bawołów zarówno tutaj jak i w stepach północnych stały się już mitem. Połomstwo tych stad żyje na zarezerwowanych przez państwo terenach jakby w menażerjach. Przez tę pustynię prowadzi — jak jakiś absurd — asfaltowana szosa samochodowa, na której co sto kilometrów można spotkać trąkającego Forda, obładowanego owocami lub narzędziami rolniczymi, pędzącego w czerwono-brunatnym obłoku kurzu. Rozpalonego do białości nieba nigdy żadna chmurka nie przesłania. Jadąc koleją, jest się przeważnie na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Przejrzystość i absolutny spokój atmosfery nadają jej coś szklanego i stąd też nieporównany czar barw. Jakby w jakiejś ruchomej panoramie człowiek widzi się stale w środku niby koła z olbrzymich i dalekich gór, których sylwetki, dzięki magji łamiących się promieni, tęczą tężącą aureolą. Nigdzie nie widziałem tak tajemniczego światła, tak subtelnych odcieni wszystkich barw tęczy, jak nad brzegami wielkiego słonego jeziora. Salt Lake City, położone nad tem jeziorem niema sobie równego na całym świecie nie tylko dlatego, że jest stolicą Mormonów, ale i z wielu innych względów. Powietrze i woda są tutaj krystalicznie czyste i idealnie przejrzyste. W oświetleniu wieczornem wieże kościelne i drapacze nieba dają nieopisany widok. Każda godzina dnia ma tutaj swoją dominującą barwę.

Oko Europejczyka, przyzwyczajone do form bardziej opanowanych i do pewnych

wymiarów, niepokoi się wobec tych wszystkich skrajności. Takie same uczucie podziwu i przestachu budzi się u widok Grand Canon, tego największego z pośród cudów przyrody. Potężne gniazdo górskie wciśnięte w ziemię. Proszę sobie wyobrazić płaskowyż o obszarze Niemiec i Francji razem wziętych, a na tem płaskowyżu szczelinę szeroką na dwadzieścia do czterdzieści kilometrów, od której we wszystkich kierunkach idą szerokie pęknięcia, ciągnące się na przestrzeni około trzystu kilometrów. Przeciętna głębokość tej szczeliny wynosi ponad 700 metrów. W tej olbrzymiej kotlinie wznosi się wiele setek piramid i stożków kamiennych i skalnych, przypominających fortece warowne, świątynie i pałace olbrzymów. Książkowy krajobraz, widok jak w gorączkowych marzeniach. Na dnie tej przepaści, wijąc się w głębokich szczelinach, prawie niewidoczna, huczy i szumi rzeka Kolorado o wodzie mętnej i gliniastej. Bogactwo form w tej kotlinie nie da się nawet w przybliżeniu opisać słowami. Potężne terasy, areny, cyrki, świątynie, nazwane też przez ludzi imionami Buddy, Konfucjusza, Zoroastri. Sama przez się nasuwa się myśl, że meksykańskie budowle religijne wzorowane są na znajdujących się tutaj architektonicznych dziełach natury — najpotężniejsze jednak dzieła rąk ludzkich w zestawieniu z tem, co tutaj pobudzała natura, wydają się mizernymi plagiatami, robionymi przez karzełków. W głowie się mać, perspektywa, do jakiej przywykło oko ludzkie, jest tutaj odwrócona — zamiast z podziwem kierować wzrok w górę, patrząc z przestachem w przepaść. Uczucie podobne do tego, jakiego doznaje się, gdy stojąc na głowie, ogląda się krajobraz przewróconymi oczyma. Jakaś bajeczna anomalja, jakaś zagadka geologiczna. Jakiego pochodzenia jest to wszystko? — zapytuje się człowiek. Czy wulkanicznego? Czy tektonicznego? Czy to pro-

ces rozwojowy czy rozkładowy? Czy to młodzieńcza rewolucja czy objaw starczy naszej planety? Poszarpany brzeg płaskowyża jest w niektórych miejscach tak nagle złamany i tak ostro ścięty, że chce się wierzyć w jakiś katastrofalny początek tego wszystkiego i przestach ogarnia nas wobec takiego dowodu kruchości skorupy ziemskiej i niebezpieczeństw grozących „twardziej” ziemi pod naszymi stopami. Spoglądamy tutaj niejako do wnętrza, zaglądamy do pracowni tajemniczych a niesamowitych sił, która coppersa przed niezliczonymi wiekami opuszczona została przez demonów twórczych czy niszczyielskich i daje nam dzisiaj tylko obraz nieopisanego spustoszenia, z którego uratować się zdołały tylko fragmenty tajemniczego jakiegoś porządku i nieludzkiej piękności: owe świątynie właśnie.

Farby i tutaj także urągają wszystkim próbom opisu. Krótko przed zachodem słońca, gdyśmy szli brzegiem przepaści, kamienie i skały kapały się w czerwieni brunatnej i fioletowej purpurze. Następnego dnia w południe kolor był jaskrawożółty i złotoczerwony. Ogromne przestrzenie zabarwione były jednolicie: wysokie pionowe skały świeciły czerwienią kardynalską, na której ciemnozielone omszone grzbiety wyglądały jak olbrzymie jaszczurki. Strzeliste i spiczaste formacje podobne były do starych, patyną pokrytych bronzów, niektóre wieże błyszczwały jak złoty czystego srebra. Potężne cienie, które ukosne słońce rzucało w tajemnicze doliny, w których niema żadnego życia, a jednak gra kolorów i światła wyczarowywało w nich wizje pulsującego ruchu, cienie te podobne były do ciemnozielonych zasłon i kotar, a miejscami do szaroniebieskich i szaroczerwonych zasłon przejrzystych. Gdy popołudniu słońce chowa się za krawędzią płaskowyża na dnie kotliny kładzie się nocny mrok. W górze pioną szczyty kamiennych bastionów jak jakieś

potężne piece, a cały ten podziemny teatr tonie w półmroku i takiej ciszy, jakby cała ludzkość nagle wymarła. Obserwatorowi wydaje się, że sam jeden pozostał na świecie żyjącym stworzeniem.

INDJANIE.

Dowiedziałem się, że tam na dole, w głębokich wąwozach, w osamotnionych szalaszach, żyją nieliczne rodziny Indian. Są to resztki. Widziałem czasem jednego z nich w nieprawdopodobnie malowniczym stroju i postawie siedzącego na skale nad brzegiem przepaści. Dumął może o utraconej wolności swego narodu, o utraconych ostępach, pełnych wszelakiego zwierza, które wyludżono od niego za wódkę, o „wielkim duchu”, który ustąpić musiał przed businesssem. Biedni i niedźni świadkowie wielkiej przeszłości!

Indianie także już robią business. Każdego popołudnia produkują się w swoich narodowych tańcach w czasie fajlow. Z wrzaskiem barbarzyńskim podskakują w swoich starożytnych kostjumach w kole między stolikami, na których rozpięrają się zadowoleni Amerykanie. Śmieszna a zarazem smutna farsa ten widok ludzi wyzutych z godności i szacunku dla wolnej przeszłości. Przykład doskonałej tresury, dzięki której z poniższenia robi się przedmiot przemysłu turystycznego. To jest chyba najsmutniejsze, co obcy widzi w Ameryce. W górach skalistych i na terenach ochronnych żyją podobno jeszcze zupełnie dzikie szczepy indyjskie. Czy jednak zachowały one do dzisiaj swoją wojowniczą dumę i czy uchroniły się od skutków cywilizacji, czy Indianie ci są tacy, jak sobie ich wyobrażaliśmy, czytając w chłopięcym wieku książki Karola Maya — tego powiedzieć nie potrafie. Wątpię jednak, by tak było.

Indianie w Texas zubożyci się na spekulacji gruntami i chwieszają swoje kobiety perłami i brylantami, skupując je bez wyboru u nowojorskich i chicagoskich jubilerów. O pewnym kacyku szczepu Osaga opowiadał mi Upton Sinclair zabawną historję, którą później sam wyzyskał w swojej powieści p. t. „Oil”. Na terenach należących do tego szczepu rozpoczęto poszukiwania ropy i odkryto kilka bardzo obfitych źródeł. Przedstawiciel wielkiego towarzystwa naftowego zjawił się u kacyka z propozycją kupna gruntów. Oprócz sumy kupna ofiarował mu ósmą część czystego zysku z szybów, które zostaną pobudowane. Indianin oświadczył: „Ósmą część — to za mało dla mnie. Dajcie mi szesnastą część!” Agent spostrzegł z kim ma do czynienia i odparł z miejsca: „Szesnasta część, to trochę za wiele, dam dwunastą!” I targ dobito. Jednak i z dwunastej części kacyk miał tyle, że nie tylko urządził się i ubrał jak gentelman, ale ponadto sprawił sobie siedem samochodów, każdy w innym kolorze i każdy na inny dzień tygodnia. Na poniedziałek czerwony, na wtorek niebieski itd.

Jakób Wassermann.

Książkę za darmo

Za zjednanie „Prawdy” nowego prenumeratora każdy z czytelników „Prawdy” otrzymuje wartościową książkę z pośród najnowszych wydawnictw powieściowych w cenie księgarskiej od 6 do 8 złotych.

O zjednaniu nowego prenumeratora należy zawiadomić administrację kartką pocztową, podając jego adres.

Po otrzymaniu od nowego prenumeratora należytości za 6 miesięcy w kwocie Zł. 8.— niezwłocznie wysyłamy premję czytelnikowi.

Spis książek premjowych zamieszczony jest na innem miejscu.

GAWĘDY

Katastrofy żywiołowe i kataklizmy

Żyjemy wszyscy pod wrażeniem niedawnych katastrof trzęsienia ziemi, które w tym roku nawiedzają stary nasz kontynent europejski. Mielśmy katastrofalne wstrząsy skorupy ziemskiej w Turcji, lekkie trzęsienia od czuto na Węgrzech przyczem w Budapeszcie omal nie doszło do nieszczęścia, zarysowało się bowiem kilka domów, a ostatnio silne trzęsienia nawiedziły Bułgarię i Grecję, walać w gruzy całe miasta tak, że dosłownie nie pozostał tam kamień na kamieniu. Setki tysięcy ludzi znalazło się bez dachu nad głową, tysiące straciły życie, milionowe wartości uległy zatraceniu. A od pewnego czasu ze wszystkich stron świata nadchodzą niepokojące wiadomości o różnych groźnych zjawiskach. Dawnio wygasłe wulkany zaczynają dymić i z niesłychaną gwałtownością wybuchać, gdzieindziej szaleją huragany, spadają katastrofalne deszcze, powodując wylewy, jakich żyjące pokolenia nie pamiętają. Nie wspominamy już o codziennych niemal doniesieniach obserwatorów astronomicznych, w których aparaty sejsmograficzne zanotowały dalekie wstrząsy podziemne, bo do tego przywykliśmy już i prasa przestała nawet drukować takie „mało ciekawe” wiadomości.

Wszystko to prowadzi nas do wniosku, że wszelkimi w okres jakichś zaburzeń, których źródła mogą być lokalne i tkwić w tajemniczym łonie naszej ziemi, ale równie dobrze mogą być natury kosmicznej. Nauka nie jest w stanie rozstrzygnąć tego pytania. Wszystko, co ona nam dać może będzie tyl-

ko hipotezą, przypuszczeniem, mniej lub więcej dowolnem, w bardziej lub mniej przekonującym sposobie uzasadnionem.

Historja starożytna niewiele przekazała nam wiadomości o katastrofach, niewiele znajdujemy w niej opisów klęsk żywiołowych. Biblia wspomina tylko o jednym trzęsieniu ziemi w chwili, gdy na krzyżu konał Chrystus — poza tem mamy opis katastrofy dwóch miast rzymskich Herculanium i Pompei. Tak samo żadnych prawie śladów kataklizmów nie znajdujemy w historii średniowiecza. Od kilku tysięcy lat aż do ostatnich dziesiątków dziewiętnastego stulecia skorupa ziemska na kontynencie europejskim i azjatyckim, a więc na tej części, na której, według wyników dotychczasowych badań naukowych, stać miała kolebka ludzkości, spała snem kamiennym, rzadko tylko i stosunkowo bardzo słabe dając oznaki życia utajonego pod nią.

Jedynym źródłem, w którym odnaleźć możemy ślady dawnych kataklizmów, jakie nawiedzały naszą planetę, jest geologia, a po części i archeologia. Obie te gałęzie nauki starają się uchylić rąbek zasłony, zakrywającej daleką o setki tysięcy i dziesiątki milionów lat odległą przeszłość kuli ziemskiej. Geologia, czyli nauka o ziemi, jest wogóle nauką o kataklizmach, skutkiem których powierzchnia naszej kuli ziemskiej od chwili, gdy pojawiło się na niej pierwsze życie ulegała ciągłym przeobrażeniom. Każdy okres geologiczny bierze swój początek w kataklizmie i w kataklizmie się kończy. Niektó-

re hipotezy geologii znajdują z biegiem czasu potwierdzenie ze strony archeologii. I tak zdaje się już dzisiaj nie ulegać wątpliwości, że kiedyś istniało lądowe połączenie nie tylko pomiędzy Europą i Afryką tam, gdzie dzisiaj rozlewa się Morze Śródziemne, ale także pomiędzy kontynentem afrykańsko-europejskim a dzisiejszym kontynentem amerykańskim. Legenda o Atlantydzie, stanowiącej rzekomo naturalny pomost pomiędzy temi kontynentami, w świetle badań archeologicznych wkracza do rządu hipotez prawie że sprawdzonych, a w każdym razie bardzo silnie uzasadnionych.

Kiedy skończył się okres ostatnich wielkich kataklizmów, przeobrażających zewnętrzny obraz kuli ziemskiej — nauka współczesna ustalić nie umie. I prawdopodobnie nigdy ustalonym to nie będzie, gdyż nasza rachuba czasu do mierzenia takich odległości w czasie się nie nadaje. Pewnym jest tylko, to, co już poprzednio rzekliśmy, że w okresie, objętym nauką historii, planety naszej większe kataklizmy nie nawiedzały, że ślady wewnętrznego życia ziemi obserwowane można było tylko tam, gdzie życie to urządziło sobie niejako naturalne i oficjalne swoje drogi komunikacyjne z powierzchni ziemi a przez nią z wszechświatem. Tam, gdzie Wulkan pobudował kominy swoich kuźni podziemnych. W tych miejscach od czasu do czasu wydarzały się katastrofy, tak jakgdyby zagniewany bóg podziemi chciał odpędzić natrętne muchy ludzkie, które niebacznie wdierały się na jego rezerwat. Nie były one liczne, a w dodatku położone były zdala od siedzib ludzkich, przeważnie na oceanie, na drobnych, niedostępnych i niezamieszkałych wysepkach. To też trzęsienia ziemi nawiedzały głównie pobrażę Chin i Japonji, a bardzo

rzadkie były w głębi kontynentu europejskiego i azjatyckiego.

I naraz na granicy dziewiętnastego i dwudziestego stulecia następują w stosunkowo krótkich odstępach czasu trzy kataklizmy: Martynika, Messina na Sycylii, San Francisco w Ameryce. Trzy potężne uderzenia nieznanymi, tajemniczymi sił. Po każdym z nich ludzkość jakby zamarała na chwilę z przestachu. Czyżby to była przysłowka do nowego aktu w dziejach ziemi? Jak dotychczas przypuszczenia takie znajdują coraz więcej potwierdzeń. Kataklizmom geologicznym w postaci niezwykle silnych wstrząsów skorupy ziemskiej, wybuchów czynnych i od niepamiętnych czasów zamarych wulkanów, towarzyszą zjawiska atmosferyczne i klimatyczne. W strefie umiarkowanej od szeregów lat obserwujemy rzeczy, które wyglądają wprost na systematyczne przesuwanie się pół roku. Wiosna jakby zanikała, a przejście od lata do zimy — jesień — staje się coraz raptowniejsze. Temperatury szczytowe w lecie i w zimie odbiegają od dawniejszych norm, podobnie jak i temperatury przeciętne.

Podobnie jest ze zjawiskami atmosferycznymi. Wszędzie coraz silniejsze natężenia. Wiatry, burze, deszcze, coraz częściej stają się przyczynami katastrof. Niema od pewnego czasu ani jednego roku bez katastrofalnych wylewów rzek, bez huraganów, które zmiotają całe miasta, jakby to były dziecinne zabawki.

Nauka stworzyła i tworzy coraz to nowe teorie i hipotezy, mające rzekomo objaśnić te wszystkie zjawiska. Żadna z nich nie

Pamiętnik dziennikarza

Politycy u schyłku życia lub po ukończonej karierze często piszą pamiętniki. Pisują je również — a przynajmniej pisywały dawniej — wytworne panie, które interesowała sztuka i literatura, ploteczki i polityka. Pamiętniki wychodzą również często z pod pióra żołnierzy, a jeszcze częściej z pod pióra dowódców. Mowa tu oczywiście o rzeczach drukowanych. Ten rodzaj twórczości literackiej rozwija się jednak szczególnie bujnie po wielkich wydarzeniach dziejowych, których sam widok niejednemu wypycha pióro do ręki. Wartość tych utworów zależy przetyem nie tyle od roli, odegranej na świecie przez autora — ile od rozległości jego zainteresowań, od wrażliwości na oglądane zjawiska, sposobu patrzenia na nie, wreszcie od formy, w jaką te spostrzeżenia są przyodżiane. Pamiętniki wyprzedzają historię. Zanim ta zostanie napisana, świadkowie i uczestnicy zdarzeń w relacjach, spisanych przez innych świadków czy innych uczestników, szukają potwierdzenia swych sądów, wyjaśnienia niezrozumiałych przyczyn, ukazania nieznanego skutków; szukają obrazu całości, którego sami wytworzyć nie mogą, bo stając blisko faktu widzą tylko szczegóły, a brak im jeszcze oddalenia czasu. Z drugiej strony wielkie wydarzenia, a zwłaszcza te, które noszą pospolicie nazwę kataklizmów dziejowych, mają jeszcze tę właściwość, że odsuwają wypadki, które je poprzedziły w przeszłość omal że zamierzchnią, do innej jakby epoki, przez co umożliwiają odświeżenie niejednej tajemnicy przed upływaniem przepisowych terminów.

Zjawiskiem o wiele rzadszem od wspomnień ministra lub dyplomaty jest pamiętnik dziennikarza, człowieka biorącego w polityce udział czynny, choć nie oficjalny. Takim właśnie ciekawym dokumentem historycznym są wspomnienia — słowo: „Pamiętnik” — nie jest w tytule użyte — H. W. Steed'a, dłużej współpracownika i jednego z redaktorów „Times'a”, obejmujące czas od 1892 do 1922 r., „Trzydzieści lat życia politycznego w Europie”, z których dwie trzecie zgórą zostały spędzone na kontynencie.

Berlin, Rzym i Wiedeń przedwojenny — oto punkty obserwacyjne Steed'a, korespondenta zagranicznego „Times'a”. Wojnę oglądał głównie z Londynu; konferencje pokojowej przyjrzał się zbliska, przebywając w tym czasie w Paryżu. Anegdota tu dużo, takiej anegdoty, która lepiej nieraz od wielkiej rozprawy pozwala wnikać w istotę jakiejś chwili, w motywy czyjegoś postępowania. Obok anegdoty wiele wyjaśnień, rzetelnych informacji; charakterystyki ludzi krótkie i naogół — oprócz kilku — nie wzbudzające wątpliwości. Styl żywy, a chwilami barwny, podnosi wartość książki napisanej po to, by „ukazać... niektóre z tendencji, których punktem kulminacyjnym stała się wielka wojna i niektóre z sił, nadal kształtujących życie narodów”.

Autor nazywa ją małą kroniką epoki, nie jest jednak idealnie bezstronnym kronikarzem, gdyż nigdzie nie ukrywa swych przekonań. „Byłem zawsze — pisze w przedmowie — w polityce zwolennikiem Anglii takiej, jaką ją pojmowałem po oswojeniu myśli od kilku przesądów wyspiarskich: — zwolennikiem wolności ujętej w karby prawa przeciw tyranii i swawoli; zwolennikiem prawdy przeciw hypokryzji i zwolennikiem ludzi, w których szczerze wierzyłem”.

Steed został dziennikarzem z powołania. Usiłował „zrozumieć, opisać zdarzenia i ludzi, a nawet nimi kierować”. Pojęcia jego o dziennikarstwie zasługują na uwagę. Prasa codzienna jest najłatwiejszym, a często jedynym sposobem trafienia do umysłu człowieka, który umie czytać, a szkołę lub uniwersytet już ma poza sobą. Dziennik uzupełnia stale jego wykształcenie. Dziennikarstwo jest więc jednocześnie „sztuką i kapitałstwem”, — a przynajmniej być nim powinno. Dziennikarz powinien sam starać się o zdobycie jaknajwiększej ilości wiedzy, o ciągłe rozszerzanie swego widnokręgu. Z zamiarem zdobycia wiedzy i poznania świata, marzący o dziennikarstwie Steed, opuścił w 1892 roku Anglię. Rozdziały, w których opisuje swe pierwsze wrażenia, pobyt w Niemczech i Francji, zetknięcie się z uczonymi i nauką niemiecką w Jenie i Berlinie, z francuską w Paryżu, powolne poszukiwanie i odkrywanie charakteru narodów kontynentu — należą do ciekawych i najlepiej opracowanych. W miarę zbliżania się do teraźniejszości — faktów przybywa, ale opisy stają się coraz to bardziej treściwe i coraz więcej zdarzeń rozgrywa się za kurtyną z gazy, a nawet za sceną.

Pierwszym politykiem, o którym Steed pisał — był Bismarck. Słyszał go przemawiającego w Jenie, był zdziwionym świadkiem entuzjazmu, jaki wzbudzał żelazny kanclerz. Wrażenie owej chwili skrytykował się po latach. „Zachowałem — pisze Steed — trwałe wspomnienie silnego osobistego pociągu, jaki Bismarck wywierał i wstrząsu, odczuwanego przez wszystkich, którzy się do niego zbliżyli. Ten wstrząs pozostał podświadomie w mej pamięci i posłużył w latach następnym i służył dotąd jako miernik przy ocenianiu potęgi czyjejs indywidualności. Bardzo mało ludzi bowiem posiada moc wywoływania wstrząsu samą swoją obecnością, zanim nawet otworzą usta, a nawet wygłaszając komunały. Bismarck dar ten posiadał bezsprzecznie”.

Scharakteryzowawszy w ten sposób wielkiego człowieka, daje Steed nieco dalej charakterystykę polityka. Główną jego zaletą ma być obok „umiejętności zwyciężania przez szkół w miarę jak się zjawiają — przede wszystkim zdolność postawienia się na miejscu polityków obcych, spoglądania na zagadnienia pod ich kątem widzenia i formułowania własnej polityki w taki sposób, by dla

tych obcych, z punktu widzenia interesów ich krajów — była pociągająca. Mąż stanu o wyższej umiejętności nie zrobi użytku ze swych zdolności dla natychmiastowych korzyści swego tylko kraju, ani dla największego go zaszkodzenia krajom innym; będzie on usiłował tak kierować zdarzeniami, by po dokładnym rozważeniu wszystkiego, świat mógł uznać, że dzieło jego było wszystkim pożyteczne”.

Wszystkie ważniejsze wydarzenia przełomu XIX w. na XX są poruszone na kartach tego pamiętnika i nazwiska wszystkich bez mała polityków tego czasu można na nich spotkać. Jednego tylko czynnika dziejowego nie zdołał Steed zrozumieć. Watykan pozostał dlań zagadką, odczuł jednak i poznał jego siłę. Uległ też czarowi wiecznego miasta, potędze jego tradycji i sztuki i poświęcił mu niejedno ciepłe słowo. Podczas pobytu w Wiedniu, Steed zainteresował się żądaniemi i pragnieniami słowian. Mile bardzo wspomina swe rozmowy z W. Dzieduszyckim, ale sprawa polska nie wydała mu się wówczas widocznie dość zajmującą. Sym patję swe skierował ku Czechom, a więcej jeszcze ku południowym Słowianom, gdyż w tę stronę zwróciła go konieczność bliższego zajęcia się polityką bałkańską Austrii, a adriatycką Włoch. W opisie lat wojennych również rzadko tylko znaleźć można wzmiankę o Polsce — za to o działalności emigrantów czeskich oraz polityków południowo-słowiańskich podczas wojny można tam znaleźć wiele ciekawych szczegółów, jak również o propagandzie ententy na froncie włosko-austriackim, mającej na celu zbuntowanie przeciw Austrii słowian, walczących w jej szeregach.

Z pośród ludzi przodujących na Kongresie pokojowym, ani Wilson ani Lloyd George nie zdobyli sympatii Steed'a. Przywykli-

Loty do Bieguna Północnego

W maju 1926 roku osiągnięto drogą powietrzną biegun północny dwa razy w okresie zaledwie kilku dni. Po raz pierwszy udało się to kapitanowi Byrdowi na samolocie Fokkera. Samolot zaopatrzony był w trzy motory, a podwozie spoczywało na nartach. Zapas benzyny starczał na 22 godzin lotu, zapasy żywności na dwa i pół miesiąca. Samolot prowadził pilot Lloyd G. Bennet, Byrd miał nadzór nad kierunkiem lotu i czynił obliczenia i pomiary. Lot rozpoczął w najpomyślniejszych warunkach atmosferycznych od zatoki King na Szpicbergach. Bechmurne niebo pozwalało na orientację przy pomocy kompasu słonecznego, w czasie całego lotu lotnicy nie odczuli ani jednego silniejszego wstrząsu. Po 8 i pół godzinach osiągnęli biegun. Przez czternaście minut samolot krążył nad biegunem, poczem wrócił na miejsce startu na Szpicbergi. Ogółem lot trwał 15 i pół godziny. Był to piękny sukces sportowy, osiągnięty wśród sprzyjających okoliczności. Roald Amundsen i jego towarzysze pierwsi złożyli życzenia amerykańskiemu lotnikowi.

Sterowiec Amundsena znajdował się wów czas, gotowy do drogi, w hangarze na Szpicbergach. Lot Amundsena na sterowcu „Norge” był drobiazgowo przygotowany, a wyprawa zaopatrzona jaknajlepiej we wszystkie rzeczy, które mogłyby się okazać potrzebne. Na czele jej stał Amundsen, słynny badacz obszarów podbiegunowych. Ekspedycję sfinansował amerykańkanin Ellsworth. Pułkownik Nobile, konstruktor sterowca „Norge”, objął kierownictwo nawigacji. Przy sterze zasiadł pilot norweski Riiser Larsen. „Norge” posiadał objętość 19 tysięcy metrów sześciennych gazu. Wprawdzie według obliczeń „Międzynarodowego tow. naukowego dla badań arktycznych” należało dla takiej wyprawy mieć sterowiec o pojemności co najmniej 150 tysięcy metrów sześciennych gazu, aby móc przeprowadzić na biegunie wszystkie wymagane naukowe badania i doświadczenia, w każdym jednak razie „Norge” mogła się pokusić o zwycięstwo i sukces, gdyż mimo stosunkowo skromnych rozmiarów, zdołano zabrać na pokład jej najważniejsze i najbardziej potrzebne instrumenty. Zanim statek udał się w drogę do bieguna, przebył długą podróż próbną, lecąc z Włoch na Szpicbergi w etapach: Włochy—Anglia, Anglia—Osło, Osło—Piotrogród i Piotrogród—Szpicbergi.

my do wymawiania nazwiska Wilsona z największym uszanowaniem, jako jednego z tych, którzy popierali nasze dążenia. Jakże inaczej mówi o nim angielski publicysta. Nazywa go arogantem, nietaktownym autokratą. Czy odezwała się w nim jakaś stara niechęć wobec zbuntowanych kolonistów? Może, chociaż inni Amerykanie cieszą się jego sympatją. Lloyd George na kartkach pamiętnika Steed'a — to człowiek postępujący nieraz niekonsekwentnie, albo wprost niewyraźnie, czy to przy organizacji propagandy czy w sprawie ustosunkowania się Europy zachodniej wobec Sowieców.

Publicysta, który przez szereg lat pracował nad urabianiem opinii angielskiej i nie tylko angielskiej, który jest doskonale poinformowany o polityce europejskiej, musi mieć również coś do powiedzenia o przyczynach wojny, o jej sprawcach. Odpowiedzialność za jej wybuch zrzuca Steed na państwa centralne, które do niej dążyły za wszelką cenę. Jedynym, według niego a i to niepewnym, sposobem powstrzymania ich przed tym krokiem stanowczym było ogłoszenie w ostatnich dniach lipca 1914, że Anglia neutralną nie będzie. Za współwinnych uważa więc i tych Anglików, którzy łudzili siebie i innych twierdzeniami o niemożliwości wojny i zamykali oczy na niebezpieczeństwo zbliżające się oddawna.

Literatura o przygotowaniach i przyczynach wojny jest już bardzo obfita. Poszukiwania jej sprawców jeszcze trwają. Jedni chcieliby zwalić na kogoś winę swej niewyważonej klęski, inni znów — kogoś ostatecznie przekląć za zniszczenie swego kraju. Zbliża się jednak czas, w którym temat ten przestanie zajmować polityków. Wezmą go wówczas w ręce historycy i kto wie, czy po wyszukaniu wszystkich winowajców i zbadaniu wszystkich skutków nie wydadzą o wielkiej wojnie wyroku już dawniej sformułowanego przez tych, którzy ją naprawdę wygrali. Do dzieł minioniej burzy Steed dorzucił wiele wartościowych spostrzeżeń.

J. Krasicka.

jest przekonywująca, a wiele przeczy sobie wzajemnie. Cała ta naukowa dyskusja wygłąda na jałowe gadanie, to też ludzie przechodzą do porządku dziennego nad temi wszystkimi wywodami uczonych o plamach na słońcu i ich wpływie na pogodę, a nawet nad teoriami o przyczynach wstrząszeń podziemnych, chociaż niektóre z nich są dość logicznie skonstruowane i ilustrowane przykładami, które obserwować możemy na powierzchni ziemi i z którymi się ciągle stykamy. Bo też w gruncie rzeczy obojętnym jest czy skorupa ziemska zapada się nam pod nogami i drży dlatego, że w środku ziemi ekspandują gazy unoszące się nad płynną rozżarzoną masą, czy dlatego, że stygnące warstwy środkowe kurczą się, pękają i odrywają się, wpadając do masy płynnej, czy wreszcie dlatego, że przez kanały wulkanów podmorskich do warstw rozżarzonych dostaje się woda, która zamienia się błyskawicznie w parę i wybucha. Ludzie widzą tylko fakty, widzą, że coraz częściej ziemia drży i wiedzą, że żadna nauka nie na to nie poradzi, że najpotężniejsze dzieła rąk ludzkich walą się jak domki z kart i dziecinne zabawki przy pierwszym silniejszym wstrząsie, a ludzie giną, jak muchy. Widzą, że wobec tajemniczych sił przyrody i wobec groźnych przejawów jej życia blednie i niknie blask wszechwładnej ludzkiej wiedzy i że geniusz nauki ludzkiej jest wobec kataklizmu bezradniejszy i bezsilniejszy, niż pierwsze lepsze dzikie zwierzę lub ptak, którym odmawiamy nietylko duszy, ale i myśli. Ptaki bowiem i zwierzęta bardzo często, jak by przeczuwały kataklizm, opuszczają w panicznej ucieczce miejsca zagrożone. Ratuje je instynkt, który nie jest niczym innym, jak tylko tym szóstym zmysłem, który człowiek cywilizowany utracił, a przy pomocy którego zwierzęta — a zapewne kiedyś i człowiek

pierwotny — utrzymują stałą łączność z przyrodą. Działalność tego zmysłu musiała się objawiać w wysoko rozwiniętej zdolności przeczuwania rzeczy nadchodzących, które swoje źródło miały w siłach przyrody. Zatraciwszy zdolność przeczuwania, ludzie starają się zdobyć umiejętność przewidywania i w tym celu uciekają się do pomocy nauki i techniki. Jak dotychczas wartość przewidywania ludzkiego jest bardzo problematyczna. Przy pomocy olbrzymiego aparatu technicznego i naukowego nawet pogody na dwanaście godzin naprzód przewidzieć nie możemy. I kto wie czy nie na lepszej drodze jest tak zw. „ciemny” chłop, który swoje przewidywania opiera przynajmniej na obserwacji zwierząt lub świata roślinnego, niż wysoce uczony meteorolog, który przez pół dnia dokonywuje skomplikowanych badań, pomiarów i wyliczeń, aby w ciągu następnego pół dnia przekonać się, że wszystko to zawiodło. I tak jest wszędzie, nie wyłączając nawet medycyny. I tutaj jakże często zawodzą przewidywania na najbardziej naukowych zasadach i doświadczeniach oparte.

Katastrofy żywiołowe i kataklizmy mnożą się. Ludzkość stoi wobec nich dzisiaj jeszcze bardziej bezsilna, niż ongiś przed setkami tysięcy czy milionami lat stał protoplasta rodu ludzkiego, jaskiniowiec. Tamten tak samo nie wiedział skąd one przychodzą, ani jak ich cel i jakim prawom podlegają — prawdopodobnie jednak przeczuwał je, podczas gdy my w naszych nowoczesnych jaskiniach, w niebosiężnych drapaczach chmur, staliśmy się ślepi i głusi na mowę, nakazy i ostrzeżenia natury.

Stanisław Horwat.

„Smiejemy się, kto wie czy świat potrwą jeszcze trzy tygodnie”.

„Cyrułik Warszawski”

Najlepszy w Polsce
Ilustrowany Tygodnik Humorystyczny

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach T-wa „RUCH”.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Legenda o Piłsudskim w literaturze

„Tęsknem echem, żołnierzu, odbijają się kroki twoje w tajniach ludu, jak echo odbija się w lesie. Na wystyglach kałużach krwi, w dziewczycich tajniach wyrastają cudne legendy, jakich jeszcze Polska nie miała. Budzą się w duszach sny o pióropuszu sławy... Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie zleknie się twych snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana, — ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dnie twe i nocę, mękę, wysiłek, trud i skon...”, powiada w swym precudownym „*Snie o szpadzie*”, piśnianym w roku 1905, Stefan Żeromski.

W listach Stanisława Witkiewicza, piśnianych do siostry czytamy pod datą 19 października 1914: „Dziś mamy tyle wiadomości o Legionach, o pułkowniku Piłsudskim, że się jasno robi dokoła. Tak niedawno powtało to wojsko polskie, a już wytworzyło legendę, już rozpowszechniło i ustaliło szczególną sławę polskiego czynu. „Die Polen schlugen sich wie Teufel”, powtarzają od Renu po granicę polską Niemcy, a dalej ta sława będzie rozszerzać się po świecie, jak zorza. Legenda to skarb i siła, siła często potężniejsza, niż historia, niż rzeczywistość...”

A pod datą 12 lipca powiada: „Piłsudski stał się wodzem przez swoją własną moc, jego władza jest wynikiem tego, że on jest wcielaniem ducha, wiodącego do walki tych nowych polskich żołnierzy. Rzeczywistość i legenda wyznaczyły nam w historii polskiej miejsce, z którego go nie może usunąć żadna władza żadne normy hierarchii wojskowej...”

W dniu 23 grudnia 1914 roku na przyjęciu urządzonym przez Naczelny Komitet Narodowy w Wiedniu na cześć Józefa Piłsudskiego w mowie swej powiedział profesor Jaworski, prezes N. K. N.: „Dokoła ciebie i Legionów, na których czele stoisz, tworzy się już legenda, ośmieniająca cię sławą...”

Była to też postać wprost wymarzona przez legendę. Grabiec w swych niezmiernie ciekawych wspomnieniach o „Czerwonej Warszawie przed ćwierćwieczem”, wydanych w roku 1925 tak maluje postać Komendanta:

„Przedewszystkiem uderzały jego oczy. Rozumnie i zarazem pogodnie patrzyły one z pod gęstych, zrosniętych brwi, osadzone głęboko i badające świat, jak gdyby z ukrycia. Mówił apodyktycznie i z wielką pewnością siebie i swego zdania. Styl miał ładny i często wytworny. Zawsze też miał fanatycznych wielbicieli, którzy dąbali się za niego porąbać, myśleli jego myślami, szli za nim wszędzie, wierzyli w niego ślepo i tylko jego słuchali.

„Wiktor” (pseudonim partyjny Piłsudskiego) przyszłe powstanie zbrojne traktował kon-

kretnie: obowiązkiem pokolenia było do niego dążyć i zupełnie realnie wybuch jego przygotować. Powstanie było, zdaniem jego, obowiązkiem naszym samym w sobie, bez względu na rezultat. Wierzył, że czyn zbrojny z fatalną siłą ciąży nad podbitym narodem historycznym, jako umysłowienie protestu przeciw niewoli. Każde nasze pokolenie krwią swoją musi przypomnieć, że Polska żyje i z niewolą się nie pogodziła...”

„Uparty Litwin”, prymusowy badacz Sybiru, przywódca P. P. S. w Królestwie i nieustraszony redaktor „Robotnika”, wprost genialny konspirator, zakamieniały wróg Moskale żył tylko myślą o czynie, marzył o walce obojętnej z wrogiem. W owych czasach, kiedy trójlojalizm brał górę, rzucał na tamach „Robotnika” hasło „niepodległości Polski”. Jako organizator „bojowców” rozpoczął Piłsudski walkę z Rosją właściwie już w roku 1905. Oddziałki „Organizacji bojowej” rozsiadane po całym kraju skupiły przeszło 5 tysięcy bojowców, z szaloną wprost odwagą gardzących własnym życiem dla sprawy...”

Rozpoczęta naówczas tworzyć wojsko polskie w Galicji. Brać owa strzelecka, na którą patrzone z pobłażliwą ironją, lub z lekliwym niepokojem, owa garść entuzjastów, zapaleńców, staje się fundamentem niepodległej Polski.

Duszą tej garści „szaleńców” jest Piłsudski. Wierzy niezłomnie, iż bóg narodów nadejść musi, a w nim nie może zabraknąć Polaka — wszak nieobecność jego mogłaby być uważana za rezygnację z wolności.

Nie rozumiano tego. Oceniano siłę ilością ludzi, a nie mocą idei. Nie zdawano sobie sprawy, co zdziałać może entuzjazm, jakim płomieniem wybuchnie iskra, rzuconą na odpowiednie podłoże. Jedynym chyba wyjątkiem był Witkiewicz, kiedy powiadał: „Przypomnijcie sobie, czem była Polska, kiedy Dąbrowski tworzył pierwsze legiony i pamiętajcie, że Kościuszko miał mniej żołnierzy pod Maciejowicami, niż ich teraz ma Ziuk (pseudonim Piłsudskiego, jako działacza konspiracyjnego). Otóż w lat 18 po Maciejowicach szło z Napoleonem do Moskwy 68 tysięcy polskiego żołnierza. Dowodzi to możliwości odradzania się, wiecznej żywotności, młodości sił, tkwiących w polskim narodzie...”

Poszedł Piłsudski w bój, a wraz z nim ci wszyscy, którzy wierzyli w zapalającą siłę krwi, w wartość czynu. Nie lękali się śmierci. Szli w bój, wierząc swemu komendantowi, iż droga ich, to droga do Polski. Był on ich bożyszczem, ich ukochaniem, ich duszą.

Gdzie on, wierzyli, być musi zwycięstwo. Największą dla nich nagrodą było słowo, czy

uśmiech komendanta. A kiedy wyrwano go z kraju i osadzono w twierdzy niemieckiej, płynęły tamże tęskne myśli, nie działaczy politycznych, tych trzeźwych, wyrachowanych, lecz młodzieży, lecz prostych żołnierzy, lecz mas robotniczych, owych szarych tłumów jako do swego wodza i kierownika duchowego.

Kiedy nadeszły dni listopadowe 1918 roku, w murach Warszawy pojawił się Piłsudski, z nim razem zjawiał się czyn.

Następuje rozbrojenie wojsk niemieckich, tworzenie z niczego armji, budowa państwa, wywołanie granic, boje roku 1919 i 1920 zakończone zdobyciem dzisiejszych granic od wschodu. Piłsudski działa... nie dba o popularność, milczy, lecz z uporem kroczy naprzód. I oto cud przedziwny. Jego wrogowie — o ile tylko w głębi ich ducha była prawdziwa miłość ojczyzny — przemieniają się w jego wielbicieli, lub lojalnych pracowników na niwie narodowej.

Na czeźmę polega ów urok przedziwny, jaki wokół budzi Piłsudski.

W każdym sercu polskiem żyła w głębi tęsknota do czynu, marzenie o Polsce, o poświęceniu się za „ową wyśnioną, upragnioną”. Było to jednak tylko tęsknem rojeniem...

I znalazł się człowiek, który te rojenia, zda się, nieczyszczalne, zamienił w rzeczywistość.

Piłsudski stał się ucieleśnieniem tego, co tkwiło w utajeniu w sercu Polaka w latach niewoli!

Czyż więc dziw, iż Piłsudski tak rychło przeszedł z historii do poezji, do żołnierskiej legendy?

Czyż nie był wymarzoną bohaterem dla poety, powieściopisarza ów „Ziuk”, „Wiktor”, „Mieczysław”, „Komendant”, „Dziadek”, mający w sobie tyle z dawnego Polonusa, posiadający tyleż cech romantyka, zapalony wielbiciel Słowackiego, sam poeta, sprowadzający śmiertelne szczytki Juljusza po 78 latach spoczynku między obcymi do grobów królewskich na Wawelu?

Piłsudskiego zwłaszcza ukochała pieśń.

Nazwisko jego i epopeja legionowa stały się podniętą i bodźcem dla licznych poetów. Ilość owych pieśni w chwili obecnej przekroczyła już dawno sumę półtysięczną. Wszak antologia „Pieśni o Piłsudskim” wydana w roku 1920 przez Apolinarego Krzymińskiego liczyła już 240 numerów!

W gronie owych pisarzy mamy i wielkie uznane nazwiska. Większość jednak pieśni to twory braci żołnierskiej, stworzone przy ognisku, pochwycone przez towarzyszy. I śpiewa je już tłum, zanim znajdzie się skrzę-

tny zbieracz. Rymy to częstokroć proste, niewyszukane, częstokroć trawestacja znanych śpiewów bojowych z „*Jeszcze Polska*” na czele. Wszędzie jednak bije ów duch żołnierski, ów szczerzy zapał, to bezgraniczne ukochanie wodza i „sprawy” i honoru żołnierskiego. A w owym mrowiu odkryje się czasem liryki wielkiego polotu, perły prawdziwego natchnienia. Takimi są „*Piłsudzkiana*” Zbierchowskiego, Or-oła, Słońskiego, Lechońia, Wierzyńskiego, Ejsmonda, Kleszczyńskiego i wielu, wielu innych! Pieśń ta płynie w masę, zapalając je, budząc odzwiek. Nie koniec jej!... Postać Komendanta, w oczach potężniejszą, kiedy na podłożu wolnej Polski krzewić bujnie rozpocznie się poezja, znajdzie nowych mnogich piewów!

A powieść? Już kilkakrotnie postać Piłsudskiego wzięta została za model dla bohaterów powieściowych.

W powieści Daniłowskiego „*Z minionych dni*” Wiktor — to Piłsudski, podobnież w „*Chimerze*” Struga, Miecz — to Piłsudski z czasów pobytu przed wojną w Zakopanem. Trzebawy dalej wymienić z dzieł Struga „*Mogila nieznanego żołnierza*”, „*Odnazka za wianą służbę*”, Bandrowskiego „*Piłsudzczyca*”, „*Rubikon*”, „*Bitwa pod Konarami*”...

W ostatnim roku pojawiła się powieść Jana Newady „*Umarli wracają*”. Książkę można określić jako powieść z pod znaku pierwszej brygady. Warta ona poznania — jako wyraz narodzin rzetelnego talentu.

Obecnie chciałbym zwrócić uwagę na przepiękną końcową scenę, kiedy to u łoża Żerzkiego, rannego na „*Ironie Warszawy*” zjawia się Piłsudski, ucząc celów życia, wartości czynu.

„Wysilk! nasze, życie nasze, nasza śmierć staną się podłożem innych wysilków, innego życia, które kiedyś w czasie pójdzie ku innej śmierci i poniesie ponad robactwo przyziemne nieśmiertelny wysiłek myśli ludzkiej.

A my zostaniemy tam, gdzie nam Duch wielki niemiłosierny i jasny stać każe”.

Według zapowiedzi jednej z firm wydawniczych w dniach najbliższych pojawi się na rynku księgarskim wielka powieść o Piłsudskim p. t. „*Wódz*”, pióra jednego z największych współczesnych powieściopisarzy polskich.

Naród potrzebuje legendy, legendy taknie dziecko, wojsko musi posiadać ducha, uosobionego w silnej, wielkiej jednostce!

A czyż może być cudowniejsza legenda, jak nie o pierwszym, w siwej maciejówce, żołnierzu, J. Piłsudskim? Adam Galiński.



Czarna Josephina

pośpiechu zamykają gramofon i chowają płyty, wedle których Josephina dla rozruszania nóg w podróży kilka godzin z rzędu tańczyła, wrzucając porzucane po całym sleepingu manatki do niezliczonych waliz, które zaczyna się wynosić, zamykając po drodze. Josephina w zapale tańca zapominała wogóle, że się dojeżdża. Wyskakując wreszcie z pociągu, smukła, wysoka, koloru zaledwie kawowego, żywa, śmiejąca się bez ustannie, wesoła, pełna swawoli. Za nią pośpiechu powoli czarna służąca, która ostrożnie niesie trzy ulubione pieski Josephiny, cudowne Pekinois. Josephina zapomina o wszystkich i zajmuje się narazie tylko wywagowaniem tych przybranych w ciepłe paltoćki piesków, które zdaje się łkliwe kochać. „Czy nie są rozkoszne?” — pyta z dziecianną pieczołowitością i umieszcza je wygodnie w ramionach grubej murzynki. Lecz koby miał oczy dla piesków? Wszystkie oczy skierowane są na Josephinę. Witają ją zewsząd radosne okrzyki i sto rąk wyciąga się ku niej — uzbrojonych w ołówki, by uzyskać czempredziej upragnione autogramy. Josephina jednak żadną miarą nie jest w stanie ich udzielić, gdyż ręce jej, powyżej ramion, dźwigają dary witających ją, — kwiaty i czekoladki w niezmiernych ilościach. Powoli wszyscy ruszają ku wyjściu. Wynosi się kufry Josephiny, jakieś 50 sztuk, fotografowie fotografują, co sił starczy, reporterzy piszą, co się zmieści, aż wreszcie Mr. Abbatino energicznie wsadza Josephinę do samochodu wraz z pieskami, walizami, kwiatami, cukierkami, gramofonem i murzynką — i jazda do hotelu.

O występie gościnnym Josephiny Baker mówiło się już od 6 miesięcy. I trzeba stwierdzić, że z wielką ciekawością. Josephiny jeszcze nigdy w Wiedniu nie było, dochodził jedynie rozgłos jej tancerskiej sławy bez konkretnych dowodów. Występ tutejszy ustalony był na początek marca w rewji, specjalnie dla niej napisanej, p. t. „Czarne na białem”. Ale że w Wiedniu często sprawy idą całkiem inaczej, aniżeli w innych wielkich miastach, zatem prawie od pierwszego dnia jej pobytu tutaj, a potem na Semmeringu, wszczęta została przeciwko jej osobie wściekła kampanja, która groziła udaremieniem jej występów. Złożyło się na to kilka motywów. Jako główny — zazdrość dyrektorów innych teatrów, którzy drżeli przed konkurencją dla własnych przedsięwzięć i nie mogli odzłować, że każdy dla siebie nie był zdobył tej gwarantującej wyprzedane sale atrakcji. Miasto ze swej strony zaczęło się martwić, że obcy star ma zabrać z kraju za sześciotygodniowy występ 150,000 szylingów, czyli prawie 200.000 zł. A w dodatku zaczęła się jeszcze walka na tle polityczno-partijnym, wysuwająca wszelkie możliwe i niemożliwe hasła rasowe, piętnując występ Josephiny, jako potężne niebezpieczeństwo kulturalne dla białej rasy. Polemiki te, mało rzeczowe, które mieszały pojęcia sztuki poważnej i kabaretu, zataczały kręgi tak szerokie, że spowodowały nawet głośną interpelację w parlamencie, z której sami polemizujący wiedźnycy, w słusznym wycuciu humoru, serdecznie się śmieli. Co za niebezpieczeństwo dla młodzieży! Kobieta tańcząca prawie nago, przybrana zaledwie w przepaskę z piór, jaki bezwstyd! jaka nad wyraz gorsząca zmysłowość! i w dodatku jeszcze czarna! To plama na zachodniej kulturze, skaza na wszystkich mieszkańcach Europy!

Josephina tymczasem czekała na Semmeringu, pan Abbatino zaś pracował od ra-

na do późnej nocy, by występ jej umożliwić (a i sobie niemale zapewnić tantiemy!), i mimo niezyskanych koncesyj, mimo wrogich dyrektorów, mimo pieniążego się urzędu podatkowego, mimo humorystycznych interpelacji posłów i posłanek, mimo wreszcie całej zgorszenia licznych moralistów i jeszcze liczniejszych hipokrytów, odbyła się wreszcie owa, tak namiętnie zwalczana premiera.

Wybrać się na nią nie należało zresztą do rzeczy zbyt przyjemnych. Teatr obstawiony był gęsto policją, która baczenie czuwała nad najmniejszym zbiegowiskiem, rozpraszając je natychmiast. Zapowiedziane bowiem były wszelkie ewentualności, nie wykluczając i bomb. W tak przyjemnej perspektywie widz udawał się na wesołą rewję, która przedstawiała się zewnętrznie, niby początek rewolucji.

Dopiero przy końcu pierwszej części rewji, gdy już ciekawość jest jaknajbardziej naprężona, ukazuje się Josephina, jako dziewczyna w dziewczym lesie. Schodzi na poziomo wyrwionym drzewie, jak kot lub małpa, giętka, miękka, jakoby część tego lasu, część natury. Jest naga, oprócz przepaski z bananów na biodrach i naszyjników, które spadają na piersi. Jest naga, a jednak nie jest naga, — nie mniej i nie więcej naga, jak wąż, jak ptak, jak roślina. Szczuple, smukłe to ciało, o chłopięcej urodzie, nigdy i nigdzie nie narzuca nam najlżejszego wyobrażenia jakichkolwiek pożądań. Cieszymy się niem i jego ruchami, jak pięknym koniem arabskim, jego chodem, grą jego nóg. Na prześlicznie osadzonej główce lśnią kunsztownie, gładziutko do głowy przylepione włosy, jakoby lśniący krzywo ubrany czepeczek, oczy błyszczą w nadzyczajnym blasku, nie pozostają ani chwili w spokoju, współzawodnicząc z niezrównanym blaskiem zębów. Josephina zaczyna tańczyć. Niepodobna tańiec ten porównać z tańcem jakiegokolwiek innej tancerki. Wszy-

TEATRY WARSZAWSKIE

(Teatr Mały: „Pociąg — widmo”, komedia A. Ridleya).

Zbliża się sezon letni. A w lecie człowiek ma umysł leniwy i ociężały, nie lubi wysilać się w teatrze na wnikanie w subtelności artystyczne, psychologiczne i inne; chce wzruszeń bez wysiłku, chce, by oglądana sztuka nie zawierała ścieżkami, ale prostą drogą trafiała do jego duszy, chce poprostu śmiać się i płakać bez większych procesów myślowych.

Czas więc pomyśleć o odpowiednim repertuarze. Dyrekcja Teatru Małego pierwsza o tem pomyślała, jak zapobiegliwa gospodyni wcześniej myśli o... kiszniu ogórków. Z malowniczego tego porównania nie trzeba jednak wysnuwać wniosku (comparaison n'est pas raison...), jakoby „Pociąg — widmo” był pierwszą jaskółką sezonu ogórkowego. Jest to sztuczka już wprawdzie letnia (w wyżej określonym znaczeniu), ale jeszcze nie „ogórkowa”...

Komedja Ridleya to jest Poe wymieszany z Conan Doylem i ulepiony w kształt sceniczny. Nadprzyrodzoność i kryminalistyka, a razem Grand-Guignol i sensacja pierwszej klasy. Zjeżone przerażeniem włosy układają ci na głowie z powrotem serdeczny śmiech, przerywany znowu za chwilę dreszczem panicznej trwogi... Masz tedy wszystko, czego zapagnieś w leniwa, a głodna wrażeń dusza. Treści opowiadać nie będę, gdyż niszczyć w ten sposób napięcie ciekawości, wyrządziłbym krzywdę czytelnikowi, który zechce „Pociąg — widmo” zobaczyć. Powiem tylko, że jako widowisko sensacyjne bez jakichkolwiek pretensyj artystycznych, jest to sztuka bardzo dobrze zrobiona i mogąca służyć za wzór tego rodzaju „literaturze”.

Aktorzy spisali się doskonale. „Najlepsza na boisku” była p. Czaplinska, koncentrująca w sobie żywioł komiczny sztuki, dobrze grała p. Panczewiczowa-Leszczynska, uosobienie niesamowitej grozy. Reszta wykonawców bez zarzutu.

L. W.

Teatry Łódzkie

TEATR MIEJSKI.

„Don Juan Tenorio” Jose Zorrilla w przekładzie Stanisława Miłaszewskiego.

Zapowiedź tego widowiska nie mogła nie wzbudzać pewnych obaw. Jeżeli nawet liczne już doświadczenia pozwalały ufać w pokonanie trudności przez zespół, a rola tytułowa w rękach Józefa Węgrzyna najmniejszych wątpliwości wzbudzać nie mogła — to

jednak scena łódzka nastęrczała ich pod względem technicznym aż nadto. A należyte wrażenie tej tragedji hiszpańskiej awanturnika i uwodzieńcy jest przy najlepszej nawet grze i reżyserji nie do osiągnięcia bez odpowiedniego efektu dekoracyjnego. Dlatego tym razem największy ciężar trudności i odpowiedzialności spoczywał na barkach p. Mackiewicza. Wywiązał się on z trudnego tego zadania całkowicie zwycięsko, stworzywszy dekoracje świetnie pomyślane, szczęśliwie maskujące wszystkie liczne niedomagania sceny, łączące rozmach z harmonją, wolne od przesady, a jednak w całej swej prostocie w najlepszym sensie efektowne.

Tym sposobem połowa trudności została pokonana, drugą zaś pokonali również szczęśliwie wykonawcy z p. Węgrzynem na czele.

Artysta ten w tej roli wznosi się na wyżyny stylu, stwarzając przez swój dobrze wyczuły patos i świadomą teatralność postać taką, jaką widzieć ją chcieli poeta-twórca i tłumacz-współtwórca. Mniej patetyczności, mniej afektacji, mniej dobrego aktorstwa w roli Don-Juana — a byłby on postacią chybioną. Piękna dykcja i doskonała intonacja uzupełniały świetną całość.

Wykonawcy miejscowi stali wszyscy bez wyjątku na wysokości zadania mimo niektórych usterek, które nie zaważyły jednak na dobrym efekcie całości. P. Lubieńska nie umiała dać sobie rady w roli posagu, oddając jego zagrobowość w formie męczącej nieco monotonii. Natomiast p. Kijowski jeszcze za życia był zbyt posagowy w roli Don Gonzala. P. Jakubińska stworzyła postać groteskową, silnie przejawiającą i do stylu tragedji niedostosowaną, co przypisać trzeba niedopatrzaniu ze strony reżysera. P. Chodecki nieco zawodził głosowo.

Wszystko to jednak, jak już się rzekło, nie psuje nader udanej całości i pod żadnym względem nie umniejsza wielkiego moralnego sukcesu Dyrekcji, która pięknym tym spektaklem ostatecznie wzniosła scenę łódzką na wyżyny, dotąd przez nią nie osiągnięte.

Piękny przykład St. Miłaszewskiego zaślubił dzięki starannemu wykonaniu w całej swej krasie.

emb.

RADJO

Koniec sezonu. — Likwidacja P. T. R.

Sezon radiowy ma się ku końcowi, a raczej już się skończył. Widać to po programach nietylko naszych stacji, ale i zagranicznych. Wszędzie posucha i coraz mniej interesujących transmisji ciekawszych koncertów i głośniejszych występów solistów. Pro-

gramy całkowicie prawie wykonywane są w studjach stacyjnych. My odczuwamy to najbardziej, zwłaszcza gdy skończy się sezon koncertowy w Filharmonji. Stacja warszawska nie jest w stanie w własnym zakresie zorganizować jakiegoś takiego programu. Za kilka tygodni karmić nas zaczną na podwieczorek i kolację Doliną Szwajcarską lub jakimś innym warszawskim ogródkiem.

* * *

Z widowni schodzi „Polskie Towarzystwo Radiotechniczne” (P. T. R.). Przedsiębiorstwo to w dotychczasowej swojej postaci zostanie zlikwidowane, a aktywa i pasywa obejmie angielska firma Marconiego. P. T. R. od dłuższego czasu było już w tarapatkach. Wyroby jego na rynku polskim się nie przyjęły. Pierwsze serie odbiorników, wypuszczone przed mniej więcej dwoma laty, były jeszcze znośne, później jednak P. T. R. zbyt zaufało ochronie celnej i poczęło eksploatować rynek, zarzucając go fabrykatami, pozostawiającymi wiele do życzenia. Nie przyczyniło się to do rozwoju radiofonji w Polsce. Niejeden nabywca odbiornika P. T. R. szybko zniechęcił się do radia, odbiornik rzucił w kąę i wyrzekł się dalszych prób.

Podobnie było z innymi wyrobami tej firmy. Lamy katodowe P. T. R. bardzo szybko wogóle znikły z handlu, a handlarze sprzętem radiowym poczęli nawet w ogłoszeniach zaznaczać, że wyrabiane względnie sprzedawane przez nich odbiorniki wyposażone są w lamy zagraniczne.

Upadek P. T. R. sam już stanowi najbardziej przekonujący dowód, że przedsiębiorstwo to nie potrafiło sobie zarobić na zaufanie klienteli radiowej polskiej. Branża radiowa jest u nas ciągle jeszcze jedną z najbardziej ruchliwych. Zapotrzebowanie sprzętu radiowego nie maleje, lecz stale wzrasta. Było więc miejsce dla takiej placówki, jak P. T. R. jeżeli więc P. T. R. musi zejść z placu, to schodzi z własnej winy ponieważ nie umiało zdobyć sobie zaufania klienteli. Smutną zasługą tego początkowo silnie protegowanego i laworyzowanego przedsiębiorstwa jest to, że Polska stała się rynkiem zbytu dla zagranicznego przemysłu radiowego oraz to, że nieprędko inne polskie przedsiębiorstwo potrafi utorować sobie drogę na rynek polski.

Towarzystwo Marconiego ma podobno bardzo szerokie plany dla swej działalności w Polsce. Pragnie przede wszystkim podjąć na szerszą skalę produkcję gotowych odbiorników i wszelkiego sprzętu, modernizując i reorganizując gruntownie wytwórnię P. T. R. Personalnie techniczny i inżynierski sprowadzony zostanie z Anglii, personel administracyjny ma być polski, podobnie jak i władze całego polskiego oddziału Towarzystwa.

Aud.

Z.

stkie porównania upadają. Nic w nim niema z choreografji, nic ze stylowej kompozycji, nie tańczy ona ani symbolów, ani literackich koncepcji; tańczy tylko siebie, naturę, las, zwierzęta, i jakby żadnego nacisku nawet nie kładzie na stronę techniczną tańca, która jest u niej tak naturalna, jak oddech. Pytamy się wogóle, gdzie ustają jej naturalne, codzienne ruchy, a gdzie zaczyna się jej taniec. Tak bardzo nam się jedno wydaje powiązane z drugim. Wydaje się, jak gdyby indywidualny ten fenomen taneczny, w którym nuta groteskowo-komiczna i parodijska zawsze nad wszystkim innym przeważa, jest natomiast wirtuozowski pod względem dem luźności i miękkości ruchów całego ciała. U Josephiny nigdy nogi same nie tańczą, lecz tańczy całe ciało, wszystko, ona cała. Zachwyceni, wchłaniamy w siebie tę niepospolitą harmonję ruchów, gdy niebawem taniec jej przechodzi w groteskową parodię, jak gdyby się wstydziła tej doskonałości, jak gdyby to tylko tak było „od niechcenia”, jak gdyby to wszystko do reszty lekceważyła. Parodjuje siebie samą, parodjuje cały las, parodjuje zabawny chód i bieg strusia, to znowu groteskową zwinność małpy, wygina się lub kroczy z powagą chudego bociana. Jest wesoła, zabawna, bezwzględnie naturalna i jakżeż porwijająca w swej dziecinnej swawoli!

Pojmujemy odrazu bliski jej związek ze zwierzętami, głębokie ich znawstwo, i bezgraniczną dla nich miłość, która dom jej paryski zamienia w istną menażerję. Rozumiemy, że zabierała już jako mała dziewczynka wszelkie zwierzęta, które po drodze znajdowała, do swego ubożuchnego pomiesz-

kania, — psy, koty, małpy, papugi, kozy, cieleta i nawet węże. Przez wielką miłość, przez wielką litość.

Kontakt z publicznością wytwarza się w mgnieniu oka. Nic w niej niema z wielkiej „gwiazdy”. Jest pełna największej prostoty i skromności w całym swym niesłychanym kunszcie tancerskim, którego jakby nawet nie ceni. Po najbardziej wirtuozowskim tańcu najchętniej wpada w jego parodię, jak gdyby mówiła „patrzcie, jak ja to niezręcznie robię”, albo „to wcale nietrudne, to się tylko tak wydaje”. Niepodobna jej nie polubić, nie nacieszyć się nią.

Następuje dalszy ciąg rewji. Ale cóż to? Dlaczego nagle te wszystkie białe kobiety wydają się nieznośnie nagie obok ciepłego brzoza ciała Josephiny i niesłychanie wyzywające w swem obnażeniu? Wszystko zaczyna się nam plątać! Dlaczego toleruje się ich kunsztownie zmysłowe rozebranie, jako coś naturalnego, dlaczego się na nieskalaną nagość Josephiny kamieniami ciskało? — I znów tańczy Josephina. Tańczy sławnego swego charlestona z całą wrodzoną wirtuozową zwinnością i całym impetem swego wspaniałego temperamentu. Zawrotały rytm jazzu w coraz innych fantastycznie skomplikowanych krokach miota nią po scenie, którą zapełnia cała szumiąca wesołością, szumiącym pierwotnym życiem. Przekręca oczy i nogi, stroi najdziwniejsze miny, przyczem przy najbardziej nawet groteskowych ruchach jest zawsze estetyczna, zawsze pełna niezrównanego, niepojętego wdzięku. I czuje się, że tak tańczyła zawsze: dla siebie wtedy, gdy w cieniutkich lachmankach chciała się trochę rozgrzać, i dla swoich przyjaciółek w owej małej, ciemnej piwnicy, w której pierwsze jej próby teatralne się odbywały. Cóż z tego, że wówczas zdobyły ją conajwyżej pióra domowego koguta, podczas gdy dzisiaj stroją ją pióra strusie, kunsztownie w Paryżu wiazane? że wtedy z uszu wieszwały się najwyżej pozłacane blaszki, a dzisiaj kosz-

towne brylanty? Całe wyrafinowanie, zdobyte w Paryżu, nie potrafiło zatrzeć jej pierwotności.

I gdy później po pierwszej części rewji wynoszą kwiaty. — Josephina wyciąga przed publiczność, która przecież ją tylko woła, wszystkie te białe divy i jasne tancerki, dyrektorów, reżyserów, muzyków, dekoratorów, suflerów — oni przecież to mają zasługę, tę wielką zasługę, ona jest niczem, ona jest tylko sobie ta całkiem prosta, wesoła, śmiejąca się, czarna Josephina. Wtyka wszystkim kwiaty do rąk, przewija się przez wszystkich z wdziękiem uroczonego zwierzęcia. Jest się oczarowanym.

W drugiej części rewji przychodzi Josephina, tym razem w wieczorowej sukni, w której dziwna rzecz, wydaje się bardziej rozebrana, niżli w cudownej swej nagości, i siada, szczupła, wiotka, na wielkiej poduszce z różowego jedwabiu na tle olbrzymiego wachlarza z różowych strusich piór. Drobne ręce składa, jak do modlitwy. Nagle zaczyna śpiewać. Malenkim głosem. Śpiewa banalne angielskie piosenki przy akompanjamentem jazzu: „Sometimes I am happy — —” lub „My pretty baby”. Wpadamy w bezdenne zdumienie. Skąd się bierze ten głosik nieskazitelnej czystości i wysokiej muzykalności? Czy to jest jeszcze ta wesoła, szumiąca Josephina w swej tanecznej zna komitości? Nie. Tu się zaczyna coś innego. Coś całkiem niespodziewanego. Tutaj nagle śpiewa żal bezdennej całej ciemnej rasy niewolników, uciemiężenie wieków, niedola milionów. Ten srebrny głos dziecinny staje się oskarżycielem nieubłaganym w całej swej do serca płynącej słodyczy. Na sali jest cichutko, cichutko. Aż dopiero gdy kończy, orkan oklasków zalewa ostatnie tony. Josephina śpiewa znowu i znowu. Z dziecinna prostotą i wzruszającą pokorą śpiewa naraz nietylko wielką artystką, — tu śpiewa cała smutna dola murzyńska, cały wieczny smutek kreatury. Widzimy wielki

Poematy bez poezji

P. Mieczysław Braun ogłosił nowy tomik poezji, zatytułowany „Przemysły” (Mieczysław Braun — „Przemysły” — poezje, Warszawa 1928, nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka).

Dziwne jakieś wrażenie wywołuje lektura tego zbiorku — wydaje się, że napis na kartce tytułowej „Poezje” polega na nieporozumieniu. Niema bowiem w tym tomiku ani jednej strofy poezji, niema tam ani krzty tego, co ciągle jeszcze olbrzymia większość ludzi rozumie pod określeniem „poezja”. Może dojdziemy do tego, że ten rodzaj twórczości literackiej stanowić będzie poezję, jednak życzyć tego ludziom nie należy, bo wtedy szaro i smutno byłoby na świecie, skonałaby ostatnia zwrotka pieśni, zamarliby ostatni uśmiech, a ludzkość stałaby się stadem niewolników, pontro skandujących hymny na cześć maszyn, narzędzi i może jeszcze muskułów.

To, co zawarte jest w tym tomiku, to nie jest poezja — to jest próba ściągnięcia poezji na ziemię, obniżenia jej lotu do poziomu kominów fabrycznych i wież antenowych, spętania jej, aby nie użyczała swoich skrzydeł porowym ducha ludzkiego, lecz służyła za opis tworem jego rąk, płodom jego mózgowych kalkulacji.

Próba się nie udała — autor ściągnął na ziemię tylko formę poetycką, tylko szatę poezji. Mamy przed sobą bardzo dobrą próbę produkcji, doskonały fabrykant, produkt o formach bez zarzutu i nader strarannie wykonanych, a nawet wyczelowanych, pełen oryginalności niezapóżyczony — produkt mechanizmu mózgowego, a nie pachnący owoc natchnienia.

I dlatego niema w tym tomiku ani jednej strofy, która potrafiłaby wiaragnąć do duszy, niema tam ani dźwięku, na który dusza musiałaby odpowiedzieć akordem. To nie jest poezja. To jest męcząca proza życia, tembardziej męcząca, że podpatrzona przez dobrego obserwatora i bezlitośnie z precyzją odmalowana. I jak tu nie uciekać od takiej poezji. Jeśli ktoś spragniony poezji, wychyli duszkiem ten nektar — długo unikać będzie tomików z wierszami.

Aud.

Z.

kraj jej współrodaków, upośledzonych, gnębionych, których Josephina, mimo, że sama jest bardzo jasna, uważa za swoich współbraci, i za którymi się zawsze i wszędzie ujmuje. Byłoby to tyle prosciej dla tej, której jeden z bliskich przodków stanowczo był biały, raczej wypierać się czarnych pogardzanych rodaków i stawać całkowicie po stronie Europy. Ale Josephina tego nie czyni. Nigdzie i nigdy. Przeciwnie. Opowiada o swojej dawnej murzyńskiej nędzy, o swojej matce, swoim rodzeństwie, o swojej babce, grubej starej murzynce, która tak chętnie się stroi w wielkie kapelusze o kolorowych kwiatkach i pstrych piórach, w których dumna promieniuje po przedmieściach. Opowiada o swym głodzie i o swojej walce, i jest szczęśliwa i dumna, że tyle zaszczytu czarnym swym rodakom przynosi, otuchy im dodając w ciężkim ich losie. I w tym punkcie Josephina przestaje być jednostką, która się wybiła, lecz staje się przedstawicielką czarnej rasy, która w jej osobie zwycięża. W tej solidarności jest etyka, która w mgnieniu oka robi z Josephiny nie pierwszorzędną tancerkę, nie fenomenalnie utalentowaną śpiewaczkę, ale pierwszorzędnego człowieka. Kocha tych murzynów, do których się całą duszą przynajmniej, i chciałaby im pomóc. Tak, jak tym bezdomnym kotom, psom i ptakom. A my, którzy w bezbożnej ciekawości przyszliśmy się jeno zabawić, w głębokim wzruszeniu nagle się przed tą ciemną postacią skłaniamy.

I kto wie, czy het, tam na skrajach Karoliny lub wybrzeżach dalekiego Swaneeriver, dziecko murzyńskie, zamiast modlić się w cichym płaczu, nie bełkoce w znękanym swem człowieczeństwie: „A pomóż nam, którzy stroskami jesteśmy. — ty cudna, czarna Josephino!”

A. G.

Wiedeń, w kwietniu.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

Pożyczki komunalne

Podczas gdy budżet państwowy od trzech lat jest zrównoważony i równowaga ta nie tylko że się utrzymuje, lecz w dodatku finansowa gospodarka rządu wykazuje z roku na rok bardzo okazałe nadwyżki — *budżety komunalne wciąż jeszcze pod względem równowagi wiele pozostawiają do życzenia*. W każdym niemal budżecie ukryty jest *mniej lub więcej deficyt*, który ujawnia się z reguły w postaci niewykonania szeregu obowiązków, jakie samorząd powinien wypełnić. I tak np. niewykonane są z reguły obowiązki w zakresie należytej konserwacji i naturalnego uzupełniania majątku miejskiego. Często jest jeszcze deficyt *takie pokrywa się prosto pożyczkami*. Zadłużenie samorządów w ciągu ostatnich lat po stabilizacji waluty wzrosło bardzo znacznie, a *ekwiwalentu tego zadłużenia w postaci czy to powiększonego majątku miejskiego, czy wybitniejszej poprawy jego stanu, czy wreszcie w postaci inwestycji prawie że nie widać*.

Niedawno na tem miejscu omawialiśmy budżet m. Łodzi. Budżet ten jest typowym przykładem pozornie zrównoważonego, w rzeczywistości zaś *poważnie deficytowego budżetu samorządowego*. Dochody zwyczajne, bardzo silnie „podciągnięte” w porównaniu z pozycjami zeszlorocznego budżetu, pokrywają tylko część wydatków gospodarki miejskiej, które z dochodów tej gospodarki pokryte być powinny. Wydatki, które w dochodach miejskich nie znajdują pokrycia *wstawiono do budżetu nadzwyczajnego, w którym po stronie dochodów są tylko same pożyczki*, jakie samorząd zamierza zaciągnąć. Oprócz spodziewanych pożyczek, miasto nie ma żadnych dochodów na pokrycie chociażby tylko drobnej części wydatków, figurujących w budżecie nadzwyczajnym, który opiewa na skromną sumkę *siedemnastu milionów złotych*. A wśród tych „nadzwyczajnych” wydatków są takie, jak remont bruków, koszt nowego brukowania ulic, które nowego bruku wymagają, jak remont nieruchomości miejskich, jak budowa niezbędniejszych pomieszczeń na różny inwentarz miejski, jak wreszcie ciężary, wynikające z pożyczek (oprocentowanie pożyczek i t. p.). Formalnie jest samorząd może w porządku, gdyż przepisy o budżetowaniu nakazują pewną kategorię wydatków traktować jak wydatki nadzwyczajne, *ale z tego nie może wypływać wniosek, że jedynym nadzwyczajnym dochodem musi być pożyczka* — z tego nie wynika, by wolno było zaciągać pożyczki na prowadzenie planowych, z roku na rok koniecznych, robót brukarskich i na remonty nieruchomości miejskich, jeżeli roboty takie nie są projektowane w rozmiarach większych niż powinno się każdego roku wykonać. Zrozumiałem i uzasadnionem jest bowiem zaciągnięcie pożyczki na roboty brukarskie, jeżeli się chce w ciągu jednego roku zrobić więcej niż można pokryć z dochodów gospodarki miejskiej w ciągu tego roku. W takim wypadku w następnym roku robi się mniej, a reszta funduszu brukowego idzie na spłatę pożyczki. Taki wypadek jednak w Łodzi nie zachodzi. Jest nawet gorzej: *dotychczas w ciągu kilku lat działalności samorządowej każdy bruk położony przez miasto trzeba było najdalej po roku zrywać, a w najlepszym razie przeprowadzać najdalej po dwóch latach kapitalny remont, a następnie co roku dalsze kosztowne remonty*. W takich warunkach zaciągnięcie pożyczek na roboty brukarskie jest szaleństwem, *jest objawem niebezpiecznej lekkomyślności* — niema bowiem najmniejszej gwarancji, że zanim zostanie spłacona pożyczka z bruku już ani śladu nie będzie i trzeba będzie zaciągać nową pożyczkę na spłatę starej i na nowe brukowanie. Łódź jest już poniekąd w tej sytuacji, już bowiem w budżecie przewiduje *pożyczkę na zapłacenie procentów od poprzednich pożyczek, które przeważnie zostały przebrukowane, przyczem po brukach pozostały dosłownie „ślady”*.

Zjawisko, że dotychczas zaciągnięte przez samorządy pożyczki poszły w gruncie rzeczy na latanie deficytów, bo na wydatki, które powinny być pokrywane z dochodów, jest powszechne. Samorządy powiatowe zadłużyły się na wydatki drogowe i dzisiaj w dalszym ciągu niektóre z nich pożyczają, ale już na spłatę procentów i rat poprzednich pożyczek, przyczem z dróg pozostały już tylko *smutne ślady*. Podobnie ma się rzecz z innymi „inwestycjami” samorządowymi. Zaciągnięto pożyczki, nie badając przedtem, czy samorząd

dysonuje dochodami na taki cel na jaki zaciągnięta została pożyczka, czy więc będzie mógł pożyczkę spłacać i oprocentować bez szkody dla dotychczasowej gospodarki.

Wielką winę tego zabagnienia finansów miejskich i samorządowych ponosi *Bank Gospodarstwa Krajowego*. Instytucja ta lekką ręką zatwierdza petycje pożyczkowe samorządów, szukając lokaty dla swoich zasobów. Nie bada się przytem szczegółowo gospodarki danego samorządu, lecz bierze się pod uwagę głównie stan jego zadłużenia. Jeżeli hipoteka jest stosunkowo czysta pożyczkę się zatwierdza i pcha się ją samorządowi naraz w całej sumie, chociaż z reguły samorząd nie posiada jeszcze nawet w ogólnych zarysach planu użytkowania tej pożyczki ani nie poczynił najmniejszych przygotowań, aby niezwłocznie na projektowany cel ją zużytkować. *Przy politycznym charakterze naszych ciał samorządowych większa gotówka w kasach komunalnych jest prosto niebezpieczeństwem*. Gdy tylko pożyczona gotówka wpłynie do kasy, zaraz jak z rękawa sypią się wnioski, a ponieważ aproba większości jest jednocześnie i „fachową” kwalifikacją wniosku — pieniądze szybko ulatniają się i zanim zdolano sobie przypomnieć, na jaki właściwie cel miała pójść pożyczka, *pozostał już tylko dług*.

Na tej biednej i szkodliwej drodze posuwa się Bank Gospodarstwa Krajowego ciągle jeszcze i to coraz szybciej. Ma poprostu pretensje do niektórych samorządów, że nie wykorzystują otwieranych im możliwości zaciągnięcia pożyczki. *Znany wypadek, że przewodniczącemu sejmiku powiatowego starano się z ramienia Banku usilnie namówić, aby sejmik zaciągnął pożyczkę, która ma się nalezy, gdyż nie posiada prawie żadnych długów!*

Jeżeli z tej strony nie doczekamy się rychło jakichś zasadniczych reform w postaci przepisów regulujących gospodarkę finansową samorządów w dziedzinie zaciągania pożyczek i użytkowania funduszy pożyczonych *to grozi nam bardzo poważne niebezpieczeństwo*. Po paru latach najdalej trzeba będzie przystąpić do sanacji finansów samorządowych. Pociągnie to za sobą z *jednej strony unieruchomienie milionowych sum Banku Gospodarstwa Krajowego na bardzo długie terminy, a z drugiej strony konieczność wydatnego podniesienia dochodów samorządowych, co stać się może tylko przez podniesienie świadczeń podatkowych społeczeństwa na rzecz samorządów lub przez zrezygnowanie przez państwo z niektórych swoich źródeł dochodowych. A więc albo kosztem skarbu państwa, albo kosztem wzrostu obciążenia podatkowego*.

Pożyczki mogą być udzielane samorządom tylko wtedy, jeśli potrafią się wylegitymować z istotnej i osiągniętej rzeczywistości nadwyżki dochodów. Mając taką nadwyżkę w dochodach, samorząd powinien opracować plan inwestycji zamierzonej i wystąpić z wnioskiem o pożyczkę. *Pożyczka może być użyta tylko na cel zaprojektowany i zaakceptowany a wykazana nadwyżka dochodów powinna być przez instytucję pożyczającą zajęta na spłatę i oprocentowanie pożyczki*. Czyli, że pożyczki samorządowe mogą mieć tylko charakter obrotowy, muszą przeto przed ich udzieleniem sumiennie i szczegółowo zbadane być obroty kasy komunalnej, a nie budżety same. *Pożyczki długoterminowe mogą być udzielane tylko na inwestycje o charakterze dochodowym, a w takim wypadku zamierzone inwestycje powinny być wyodrębnione z ogólnej gospodarki miejskiej*.

To ostatnie odnosi się zwłaszcza do pożyczek zagranicznych. Z tych pożyczek ani jeden grosz nie może przesiąknąć do kasy miejskiej i być obrócony na wydatki bieżącej gospodarki. Jeżeli miasto zaciąga pożyczkę na kanalizację, powinno wylegitymować się planem robót kanalizacyjnych i rachunkiem rento wności. Jeżeli rzeczy te zostaną zaakceptowane, projektowana kanalizacja od pierwszej chwili powinna być wyodrębniona z gospodarki miejskiej i postawiona pod kontrolę państwa. *Jeżeli taka procedura nie zostanie zastosowana, będziemy mieli za kilka lat jedno po drugim bankructwo finansowe samorządowe*. W obecnej bowiem chwili wszystkie źródła przyznanych samorządom dochodów są z reguły do ostatniej granicy wyzyskane na potrzeby aparatu samorządowego w jego obec-

Za wiele statystyki

Mamy Główny Urząd Statystyczny w Warszawie, który prowadzi badania statystyczne we wszystkich dziedzinach życia państwowego, społecznego i gospodarczego. Instytucja ta korzysta z szeregu przywilejów, które ułatwiają jej pracę i umożliwiają jaknajbardziej wszechstronne i jaknajbardziej szczegółowe prowadzenie tych badań. Wszystkie instytucje państwowe obowiązane są dostarczać Głównemu Urzędowi Statystycznemu żądanych przezeń cyfr, dat i informacji, a szereg ustaw i rozporządzeń nakłada ten sam obowiązek na instytucje prywatne i samorządowe. I to jest w porządku. Główny Urząd Statystyczny z roku na rok rozszerza swoją działalność, pogłębia ją i doskonali. Najlepszym tego dowodem są bardzo liczne i doskonale opracowane wydawnictwa tego urzędu. Niektóre z nich są pod wieloma względami wzorowe i stanowią pod każdym względem doskonałe źródło do prac i badań naukowych. Instytucje prywatne, zakłady przemysłowe, banki itp. z biegiem czasu przyzwyczaiły się odnosić do Głównego Urzędu Statystycznego z pełnym zaufaniem i starają się na wszystkie jego pytania i kwestjonariusze odpowiadać jaknajbardziej szczegółowo, sumiennie, a co najważniejsza w właściwych terminach. Przedstawiciele G. U. S. traktuje się wszędzie na serjo i udziela im się wszędzie jaknajdalej idącej pomocy.

Ale niezależnie od G. U. S. szereg instytucji prowadzi badania statystyczne na własną rękę, pretendując do takich samych świadczeń ze strony instytucji prywatnych, a w szczególności ze strony przemysłu, handlu, górnictwa, banków itp. jak G. U. S. Biura statystyczne posiadają m. in. banki państwowe, Bank Polski, referaty gospodarcze przy władzach administracyjnych, niektóre ministerstwa, niektóre samorządy i t. p. Nie byłoby w tem nic złego, gdyby biura statystyczne tych instytucji i zakładów ograniczały się wyłącznie do prowadzenia statystyki w ramach, dotyczących ściśle specjalnych zadań tych instytucji. Niestety tak nie jest. Biura te z reguły chcą robić to samo, co robi G. U. S. i zazwyczaj też robią to samo. Pomijając już to, że w ten sposób robi się w wielu miejscach to samo, że najzupełniej zbytecznie marnuje się czas i pieniądze, osiąga się w dodatku jeszcze i to, że dane statystyczne, wypracowane przez jedną instytucję, różnią się od danych, osiągniętych przez drugą i od cyfr publikowanych przez G. U. S. I jeżeli z kolei ktoś zabiera się do pracy naukowej, którą musi oprzeć na źródłach statystycznych, nie wie zazwyczaj, które źródło jest autentyczne. Kończy się na tem, że autor na własną rękę stara się zdobyć potrzebne mu dane — bardzo często tylko dlatego, żeby w pracy swojej wytknąć usterki w statystyce tego czy innego biura i przeciwstawić mu swój własny autorytet.

Organizacje przemysłowe, zrzeszenia zawodowe i związki kupieckie a nawet poszczególne firmy wielkoprzemysłowe co tydzień mają u siebie wizyty przedstawiciela jakiegoś biura statystycznego, a codziennie niemal próśby o statystyczne informacje. Przeważnie jednak ludzie ci niezawsze dobrze wiedzą, czego chcą, skutkiem czego pozukiwania ich zazwyczaj się przeciągają. Jest to wszystko niezmiernie kłopotliwe i uciążliwe, zwłaszcza jeżeli jakieś biuro domaga się dostarczenia mu różnych specjalnych danych, których się zwykle nie rejestruje i które nikomu na nic się nie przydadzą a zbieranie ich ma na celu chyba tylko dostarczenie dowodu, że biuro pracuje i że posiada nawet takie dane, których G. U. S. nie ma.

Sądymy, że byłoby bardzo pożądanem, aby w dziedzinie statystyki wprowadzone zostały jakieś normy, rozgraniczające zakres działania poszczególnych biur statystycznych. Dla ogólnej statystyki gospodarczej jedynym źródłem powinien być Główny Urząd Statystyczny. Biura statystyczne samorządów powinny ograniczyć swoją działalność tylko do zagadnień ściśle samorządowych, zaś wszelkie inne biura wyłącznie do zakresu działalności instytucji, której podlegają.

nym stanie i rozmiarach, tak że bardzo niewiele tylko można odkładać na nowe wydatki, względnie na spłatę zobowiązań jakie się zaciąga na takie nowe wydatki.

Zagadnienia międzynarodowe

SKŁAD RADY ADMINISTRACYJNEJ MIĘDZYNARODOWEGO BIURA PRACY.

Podczas przyszłej Międzynarodowej Konferencji Pracy, która rozpocznie się 30 maja b. r. w Genewie dokonane zostaną wybory do Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy. Rada ta składa się w chwili obecnej z 24 członków, z których 12 reprezentuje rządy, 6 pracodawców i 6 pracowników. Wśród 12 delegatów rządowych czterech tylko są wybierani przez Konferencję, podczas gdy 8 delegatów państwa uznane za najbardziej „uprzymysławione”. Choć Polska do rzędu tych państw zaliczoną nie została, uzyskała ona podczas trzech kolejnych wyborów w r. 1919, 1922 i 1925 miejsce z „wyboru”, skutkiem czego delegat jej, p. minister Sokół zasiada w Radzie Administracyjnej bez przerwy od jej utworzenia.

Aby zapewnić udział w Radzie większej ilości państw postanowiła Międzynarodowa Konferencja Pracy podnieść ilość członków Rady do 32, przez co liczba delegatów rządowych wzrosłaby do 16, a liczba delegatów pracodawców jak również pracobiorców do 8. Odnośna rezolucja Konferencji przybrała formę poprawki do art. 393 Traktatu Wersalskiego, która wejdzie w życie z chwilą, gdy ratyfikowana zostanie przez 42 państwa. Do chwili obecnej dokonano 35 ratyfikacji, a w najbliższych dniach mają wpływ dwa dalsze akty ratyfikacyjne. Brak jest zatem jeszcze 5 ratyfikacji i nie wiadomo, czy uda się je uzyskać przed przyszłą Konferencją. Gdyby to nie nastąpiło, to wybory na trzecielecie 1928/1931 musiałyby być dokonane według obecnego brzmienia art. 393, czyli że Rada liczyłaby i nadal tylko 24 członków.

NOWE WYDAWNICTWO MIĘDZYNARODOWEGO BIURA PRACY.

Międzynarodowe Biuro Pracy ogłosiło interesujące sprawozdanie o stanie organizacji robotników rolnych w poszczególnych państwach, które poraz pierwszy oświetla to zagadnienie z punktu widzenia międzynarodowego.

Wiadomo, że w pierwszych latach istnienia Biura twierdzono w pewnych kołach, że Traktat Wersalski ogranicza działalność Biura do zagadnień robotniczych w przemyśle z pominięciem rolnictwa i robotników rolnych. Sprawa ta stała się przedmiotem sporu przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, który w całej rozbuczości potwierdził tezę Biura i orzekł, że kompetencje Biura obejmują robotników rolnych.

W tych warunkach pierwszym staraniem Biura było stwierdzenie, jakie kategorie pracowników uznać należy za robotników rolnych i sprawozdanie ogłoszone obecnie poświęcone jest częściowo temu zagadnieniu. Definicje, które ono zawiera, liczą się w szerokim stopniu z ogromną różnorodnością robotników rolnych nie tylko na terenie międzynarodowym, lecz również na terenie poszczególnych państw. Sprawozdanie opisuje w dalszym ciągu stan organizacji i związków zawodowych robotników rolnych na terenie 28 państw.

W ostatnim czasie ukazał się ponadto dalszy tom ankiety przeprowadzonej przez Międzynarodowe Biuro Pracy na temat wolności koalicyjnej. Pierwszy tom ukazał się w grudniu roku zeszłego i zawierał analizę porównawczą przepisów prawa koalicyjnego w poszczególnych państwach. Drugi, obecnie ogłoszony tom zawiera monograficzny opis stanu rzeczy istniejącego w zakresie wolności koalicyjnej w Anglii, Irlandji, Francji, Belgji, Luksemburgu, Holandji i Szwajcarii. Trzy dalsze tomy zawierają będą monografie pozostałych państw.

Ogłaszając tę ankietę, stwierdza Międzynarodowe Biuro Pracy, że mimo zdjecia sprawy wolności koalicyjnej z porządku dziennego tegorocznej Konferencji Pracy, teoretyczne badanie tego zagadnienia uważa za niezbędne dla należytego wyjaśnienia istniejącego stanu rzeczy i usunięcia pewnych nieporozumień, które gdzieś jeszcze panują w odniesieniu do tego zagadnienia, które posiadają dla działalności Międzynarodowej Organizacji Pracy zasadnicze zupełnie znaczenie.

Rynek pieniężny i giełda

Bilans Banku Polskiego za drugą dekadę kwietnia wykazał bardzo poważne zmniejszenie się zapasu walut i dewiz o 25,734,885 zł. do kwoty 594,467,425 zł. Zapas kruszców wzrósł minimalnie o 85 tysięcy do 556,509,319 złotych. Obie te pozycje stanowiące pokrycie obiegu banknotów i natychmiast płatnych zobowiązań wyrażały się na dzień 20 kwietnia r. b. kwotą 1,150,976,745 zł. Waluty i dewizy niezaliczone do pokrycia zmniejszyły się o 2,288,852 do kwoty 212,720,589 złotych. Portfel wekslowy wzrósł o 7,824,903 do 490,252,070 złotych, natomiast pożyczki zabezpieczone papierami zmniejszyły się o 415,675 do 46,782,131 zł.

Natychmiast płatne zobowiązania, zmniejszyły się w drugiej dekadzie kwietnia o 9,913,886 do kwoty 639,312,291, a obieg biletów bankowych spadł o 28,712,520 do 1-go miljarda złotych. Obie te pozycje stanowiły na dzień 20 kwietnia r. b. łącznie kwotę 1,675,873,751. Przyjęty do zapasu Banku stan polskich monet srebrnych i bilonu, zwiększył się o 1.867.837 do kwoty 8.352.342 złotych.

Obroty na giełdzie dewiz były w tygodniu ubiegłym w dalszym ciągu wielkie. Całe zapotrzebowanie pokrywał prawie wyłącznie Bank Polski, który wskutek tego zmniejszył znacznie swoje zapasy. Przyczyną dalszego popytu na dewizy były płatności terminowe importerów za towar sprowadzony bezpośrednio przed wejściem w życie zwaloryzowanych stawek celnych. Dolary w gotówce natomiast miały, wskutek przewagi podaży nad popytem usposobienie niższe. Dolary notowano oficjalnie 8.88%, a prywatnie 8.89. Kurs dewizy na New-York utrzymywał się na niezmiennym poziomie 8.90. Bank Polski płacił za dolary 8.86%, za dewizy 8.88. Transakcje kablem na New-York przeprowadzono między bankami na 8.91.60 do 8.91.50. Przy zamianie gotówki na kable, dopłacano przeważnie 2 i pół gr., przy zamianie czeków na kable 1 i pół gr. W kwietniu podniosły Federal Reserve Banki w Bostonie, Chicago, St. Louis i Minneapolis stopę dyskontową z 4 na 4 i pół procent. Według wszelkiego prawdopodobieństwa podwyższy również stopę dyskontową już w najbliższych dniach federalny bank rezerwy w New-Yorku.

W grupie dewiz europejskich zaznaczyła się w okresie sprawozdawczym niższa Londynu, który spadł w środku tygodnia na 43.48 i pół. Spadek ten niema jednakże najmniejszego znaczenia. Widzimy to z bilansu Banku Angielskiego, który wykazuje poważne wzmocnienie się sytuacji tej instytucji emisyjnej. Według tego bilansu, stosunek rezerw banknotów i monet do zobowiązań wyraża się obecnie cyfrą 40,3 procent, podczas gdy w chwili wprowadzenia równoważnika złotego, stanowił tylko 22,1 proc. Suma rezerw wynosząca 45 milionów funtów szterlingów jest najwyższą z notowanych od czasu powrotu do równoważnika złotego. Inne dewizy europejskie notowano następująco: Paryż 35.10, Praga 26.41 i pół, Zurych 171.77, Wiedeń 125.43, Sztokholm 239.20, Gdańsk 174.00, Berlin 213.18. Czerwonice sowieckie spadły na 3.02 i pół—3.00 dolarów. Przyczyną tego spadku, jest dekret rządu sowieckiego, który zabronił importu waluty sowieckiej do Rosji. Tem samym Sowiety uniemożliwiły obrót czerwonicami w transakcjach bankowych, tak, że dzisiaj zawierane są operacje czerwonicami tylko prywatnie. Znacznie bardziej aniżeli u nas, obniżył się kurs waluty sowieckiej w Rydze, gdyż wynosił ostatnio 2.60 do 2.70 dolarów.

Za ruble złote płacono przeważnie 4.72. Bank Polski płacił za monety złote: ruble — 4.58, M. n. — 2.12, Kr. — 1.80, Unje łac. — 1.72, Dolar — 8.91, funty — 43.38, Funtury — 39.16, Kr. skand. — 2.38, Flor. hol. — 3.58, dukaty wszelkie — 20.38; monety srebrne: ruble n. st. — 2.75, starego st. — 2.29, M. n. — 0.76, Unje — 0.63, Kr. — 0.63, 5-koronówki — 0.66, 5-frankówki — 0.68, floreny — 1.69.

Na rynku akcyjnym obroty naogół były małe. Interesowano się jedynie bardziej niekiedy akcjami jak Bankiem Polskim, Ostrowieckimi, Starachowicami i akcjami Siła i Światło. Bank Polski osiągnął dzięki zakupom dokonywanym na zlecenie Wiednia, wysoki poziom kursowy. Mocne usposobienie miał również Bank Związku Spółek Zarobkowych. Zysk brutto tej instytucji za rok 1927 wynosi około 19 milionów złotych, a zysk netto około 1,700 zł. Rada nadzorcza banku ma zaproponować walnemu zgromadzeniu wydzielenie 6 proc. dywidendy. Bank Cukrownictwa w Poznaniu wypłaca w myśl uchwały walnego zgromadzenia swoim akcjonariuszom 14 procent dywidendy oraz podwyższa kapitał zakładowy o dalsze 3 miliony złotych do kwoty 6 milionów. Czysty zysk Banku Ziemiańskiego za rok 1927 wynosi 1,134,137 złotych z czego 25 procent potrącono na podatek dochodowy. Bank Ziemiański

zawarł ostatnio umowę z Bankiem Dreyfusa w Paryżu, na mocy której wspomniany bank paryski lokuje w Banku Ziemiańskim 1 milion dolarów na 7 proc. w stosunku rocznym na przeciąg 2 i pół lat.

W grupie akcji przemysłowych nabywały banki w dalszym ciągu na zlecenie kapitalistów belgijskich znaczniejsze partie akcji „Ostrowieckich” i „Siła i Światło”. Przy Starachowicach zaznaczyła się ostra walka pomiędzy grupą grającą na zwyższe a grupą

„baissistów”. Ta ostatnia okazała się jednak w końcu słabsza. Zysk Starachowickich Zakładów górniczych za rok 1927 wynosi przeszło 2,400,000 zł., podczas gdy w roku 1926 wyrażał się tylko kwotą 600 tysięcy złotych. Obrót towarzystwa w roku 1926 wynosił niecałe 6 milj. zł., a w roku 1927 przekroczył 18 milj. zł.

Listy zastawne miały usposobienie słabsze. Z pożyczek państwowych uległa silniej niższe 5 proc. Prem. Poż. Dolarowej; wszystkie inne utrzymały się w granicach niezmiennych.

Awil.

Kronika gospodarcza

CENY NA RYNKU ŚWIATOWYM

w tygodniu od 19-go do 25 kwietnia 1928 roku
(w okresie sprawozdawczym przeciętny kurs funta angielskiego. — Zł. 43.51).

	19. IV.	25. IV.
BAWELNA:		
Middling amer.	11.22½	11.35
Middling na termin	10.67	10.87
Patrz art. „Sytuacja na rynku bawełny”.		
PRZEDAŻ BAWELNIANA:		
Amerykańska 32”	16	16¼
Egipska 60”	31	31

	19. IV.	25. IV.
WĘLNA:		
Merino najwyższy gat. (czarna) za funt ang.	57	57
Merino najwyższy gat. (brudna) za funt ang.	50	50
Crossbread przedni za funt ang.	48	48
Crossbread średni za funt ang.	37	37

Zwyżka wełny od roku jest dla hodowców zarówno w Anglii, jak i w dominiach bardzo korzystną. Od tygodnia niema zmiany w cenach.

TOPSY (czesanki):

	19. IV.	25. IV.
Przednie merino 70”	59	59
Dobre merino 64”	55	55
Cienkie Crossbread	44	44

Topsy nie są w cenie bardzo ustabilizowane. Wielkie przetargi w maju będą musiały określić podstawę, ale opinia jest, że zmiany nie będą znaczne. Japonia nie kupuje chwilowo topesów, ale inni zagraniczni nabywcy są liczniejsi niż przed rokiem.

JUTA:

	19. IV.	25. IV.
Przedni gat. za tonnę	33	33½

Tendencja jest stale zwyżkowa, a wolne tempo zwyżki potwierdza to

MAKA:

	19. IV.	25. IV.
przednia pezena kanadyjska za worek (40 funt. ang.)	21.9	21.9

W ciągu kwietnia były dobre transakcje mąki chlebowej i średnimi gatunkami.

ZBÓŻE:

	19. IV.	25. IV.
jęczmień za centnar angielski	11	10.6
owies za centnar angielski	11.6	11.6

RYŻ:

	19. IV.	25. IV.
Karolina za tonnę	30	30.10
Burma za tonnę	14.10	15

Hiszpański i włoski ryż jest stanowczo droższy a i na indyjski oraz Karolina rynek jest mocniejszy.

JAJA:

	19. IV.	25. IV.
za wielką setkę (120 sztuk)	12	12½

Pogoda nie sprzyjała produkcji jaj, a cena wynosi 12 sz. 6 p. za 120 sztuk. Polska wysyła jaja po 10 sz. za 120 sztuk. Egipt niższy gatunek po 7 sz. 6 p.

CUKIER BURAKOWY:

	19. IV.	25. IV.
kryształ za centnar (bez podatku)		

Ceny bez zmiany.

ŻELAZO (lane):

	19. IV.	25. IV.
Nr. 1 za tonnę	68½	68½
Nr. 3 za tonnę	66	66

Ceny bez zmiany, popyt mały.

CYNKI:

	19. IV.	25. IV.
Płyty za tonnę	33.15	33.15
Sztabły za tonnę	25	25.15

Na sztaby rynek wykazuje poprawę, na sztaby tendencja mocna.

CYNA:

	19. IV.	25. IV.
Standard za tonnę	235	235

Nastąpiło pewne osłabienie, ale przypuszczają, że nastąpi poprawa, gdyż jest to artykuł, którego produkcja nie może być forsowana ani przyspieszona.

OLÓW:

	19. IV.	25. IV.
Angielski miękki olów sprzedaje się po £ 22, zapasy jednak nie są zbyt duże.	22½	22

CENY BAWELNY w New-Yorku

	cent. amer.
na maj	20.18 — 20.81
na lipiec	20. — — 20.56
na październik	19.85 — 20.30
na grudzień	19.76 — 20.18

WĘGIEL:

	szyl. ang.
za tonnę fob	
najlepszy gruby	19.3 — 19.9
secunda	18.6 — 19
zwyyczajny	17.3 — 18
drobny	13. — 13.6
brykiety	21 — 22.6
koks (wedł. jakości)	25 — 30

Warunki na rynku węglowym w Zagłębiu Wałińskim wykazywały ostatnio poprawę tendencji, a widoki na maj uważane są za korzystne. Zagraniczni nabywcy napływają w większej ilości. Pominąwszy wpływ szmatu stabilizacyjnego, który nie może jeszcze być uważany za wykonany, objawia się mocniejsza tendencja. — Co do szmatu stabilizacyjnego pa-

niej niepewność. Komitet wykonawczy odbył zabranie, ale komunikatu nie wydano. Według wiadomości nieoficjalnych szmat nie jest jeszcze w pełni stosowany, a sprawa wypłaty 3 pens. za tonnę jako kompensaty tym firmom, które ponoszą straty z powodu niezamiany się ustalonych cen, jest nierozstrzygnięta. Dobrowolne porozumienie nastąpiło, że ustalone ceny za wszelkie gatunki grubego węgla będą uważane za minimalne. Za niedotrzymanie warunków komitetu nie ustalono żadnej kary. Spodziewają się jednak, że wszystkie wielkie kopalnie i eksporterzy przyłączy się.

SITUACJA NA RYNKU BAWELNY.

Ceny na rynku w Liverpoolu w ciągu tygodnia sprawozdawczego zwyżkowały o około 20 punktów. Reakcja, o której wspomnieliśmy w naszym ostatnim sprawozdaniu, nie była daleko idącą, mimo faktu, że w Bombaju i New-Bedford panuje strejk, że między angielskimi przedsiębiorcami i robotnikami w Lancashire podjęte zostały pertraktacje i że mowa jest o zamiarach pracodawców w kierunku obniżenia płac. Mimo tych czynników, rynek po bardzo nieznacznej reakcji zwyżkował dalej. Przyczyną jest po części dalsze trwanie niekorzystnej sytuacji atmosferycznej w rejonie bawełny. Według sprawozdań pada zbyt dużo deszczu we wschodniej części rejonu, tak, że koniecznym było ponowić zasiewy w kilku sekcjach. Nadto, pominąwszy powyższe, niekorzystne czynniki, różne sprawozdania rządowe mówią o działalności owadów. Ilość ich jest znaczniejsza, niż w roku ubiegłym. — Z Nowego Jorku donoszą, że rejestrowane zapasy wynoszą około 139.000 bel. Sądzą jednak, że zapas ten będzie do października bardzo zredukowany. Trudno zaprawdę wyrobić sobie opinię dokładną, skoro tak wiele zależy od nowych zbiorów. Faktycznie sytuacja obecna jest tego rodzaju, że mimo tych różnych niekorzystnych czynników, rynek jeszcze raz się wzmocnił, i nie ulega wątpliwości, że przedsiębiorcy zupełnie swobodnie zakupują. Powszechnie utrzymuje się zdanie, że przedsiębiorcy powinni w obecnej chwili przynajmniej część swego przyszłego zapotrzebowania pokryć.

MS.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Jak holenderskie pisma donoszą, odbywają się obecnie pertraktacje między Fordem a firmą W. R. Morris, znaną angielską fabryką samochodów, mającą na celu wspólność interesów. Pertraktacje te wynikają ze skutecznej konkurencji firmy Morris przeciw Fordowi, który w Anglii stracił największą część swojego terenu zbytu i nie ma widoków odzyskania dawniejszej pozycji. Ostatnia podróż właściciela firmy Morris do dominion angielskich pozostaje w związku z przyszłą, ostrą walką konkurencyjną przeciw Fordowi.

W marcu wzrosła cyfra produkcji samochodów osobowych w Ameryce z 290,830 w lutym na 371,410. W tym samym okresie zbudowano 41,420 samochodów ciężarowych wobec 32,530 w lutym.

Dochody netto amerykańskiej fabryki samochodów General Motors Corporation w nosiły w I kwartale r. b. 69,469,000 dol. wobec 52,591,000 dol. w tym samym kwartale r. ub. Dochody I kwartału odpowiadają dywidendzie na akcje założycielskie w wysokości 3,86 dol. za sztukę wobec 2,90 dol. w r. z. Gotówka, pożyczki państwowe i inne papiery wartościowe wykazane są według stanu z dnia 31 marca na 160,000,000 dol. Z okazji wydania sprawozdania prezes przedsiębiorstwa tego sytuację określił, jako zadowalną.

Amerykańska Izba Reprezentantów przyjął ustawę o popieraniu farmerów, przewidującą wyłożenie pożyczki w wysokości 40

miljonów dolarów na rzecz rolnictwa. Środki te m. in. mają także służyć w tym celu, by rolnikom ułatwić sprzedaż nadwyżki produktów z zyskiem. Ten obecnie przyjęty projekt przedstawia się, jako ulepszona forma pierwotnego przedłożenia, przeciw któremu prez. Coolidge podczas ostatniej kadencji kongresu założył swoje veto.

Największy koncern chemiczny w Niemczech I. G. Farbenindustrie przedłożył swoje zamknięcie rachunkowe za rok 1927. Według tego zarząd proponuje ogólnemu zebraniu wypłacenie dywidendy 12 proc. (w roku zeszłym 10 proc.). Czysty zysk wynosił po odpisaniu 74,741,809 mk. niemieckich 100,812,133 mk. niem. Łącznie z przeniesieniem z r. ub. 2,396,739 mk. przeniesiono na nowy rachunek 4,426,777 mk. Jak donoszą, produkcja we wszystkich działach rozwinęła się zadowalająco, a zbyt zarówno w kraju, jak i zagranicą znacznie wzrósł.

Rząd holenderski publikuje ustawę przeciw podwójnemu opodatkowaniu, na podstawie której przy opodatkowaniu dochodów z zagranicy, holenderskiemu płatnikowi konceduje się potrącenie z jego holenderskich podatków, a mianowicie zarówno z podatku dochodowego, jak i majątkowego. Ustawa ta jest obowiązująca dla Holendrów, mieszkających w Holandji, a także dla obcokrajowców, zamieszkujących w Holandji, a mianowicie albo takich, którzy podczas ostatnich 5 lat podatkowych już w Holandji zamieszkiwali, lub takich, których kraj ojczysty w tym przedmiocie udziela wzajemności.

Ciężka sytuacja gospodarcza młynów na Śląsku niemieckim doprowadziła do unieruchomienia 49 młynów. Zjednoczone śląskie związki młynarskie niejednokrotnie zwracały się do rządu w Berlinie o czasowe zniesienie certyfikatów przywozu na zboże i o przyznanie taryfy wyjątkowej przez koleje Rzeszy. Prób tych jednak rząd nie uwzględnił, naskutek czego śląski przemysł młynarski popadł w ciężki kryzys.

Jak donoszą, gdańskie firmy przemysłu drzewnego: Zakłady Jewelowsky'ego, Tow. Akc. Pomorskiego Przemysłu Drzewnego i firma Juliusz Wegener złączyły się celem racjonalizacji w jedną spółkę akcyjną pod firmą „Juliusz Wegener, S. A.” Kapitał akcyjny nowej spółki wynosi 600,000 guldenów gdańskich.

Ramsay Macdonald w Izbie Gmin zwrócił uwagę na to, że wskutek zniesienia ograniczeń dla wywozu gumy surowej cena rynkowa akcji plantacji gumowych zmniejszyła się prawie do połowy. Sekretarz stanu Ameryki stwierdził, że wskutek przepisów ograniczających, holenderscy konkurenci mieli największe zyski, podczas gdy brytyjscy producenci odczuwali wszystkie niekorzystności tych przepisów. Nadszedł czas, by znieść plan, który swego czasu pomyślany był tylko jako prowizorium i który swe istotne zadanie spełnił, a dzisiaj przedstawia się jako poważna przeszkoda dla przemysłu brytyjskiego. W głosowaniu propozycja rządowa przyjęta została 194 głosami przeciw 94.

W Paryżu odbyła się konferencja towarzysząca ubezpieczeniu kredytowego przy udziale reprezentantów 14 krajów, między tymi i Polski. W toku obrad utworzona została grupa dla ubezpieczenia kredytowego, której nazwa brzmi: Międzynarodowy Związek zakładów dla ubezpieczenia kredytowego. Związkiem administruje wydział wykonawczy, składający się z 8—12 członków, Nadto dyskutowano nad popieraniem międzynarodowego ubezpieczenia kredytowego przez współpracę towarzystw dla ubezpieczenia kredytowego. W tym celu zaproponowano utworzenie środków informacyjnych dla zbierania informacji o krajach, w których nie istnieją zakłady dla ubezpieczenia kredytowego.

WINOGRONA W CIEPLARNIACH.

Belgia, ten kraj o chronicznym deszczu i mgle, jest wielkim eksporterem winogron luksusowych. Tylko, że winogrona belgijskie dojrzewają, na urągowski zimom i porom roku, w wielkich cieplarniach.

W okolicy Hoeylart, Overysse i t. d. jest 21.000 szklarni o powierzchni 2.500.000 metrów². Produkcją one około 5.000.000 kilogramów winogron, z czego znaczna część przeznaczona jest na wywóz do bogatych stolic świata.

W roku 1926 wywieziono winogron za 50 milionów franków belgijskich.

Oczywiście, cieplarnie zużywają znaczne ilości węgla na opał. Obliczają, że jeden tylko okręg Hoeylart spotrzebuje 200.000 ton węgla rocznie.

U W A G I

ZRÓDŁO POWODZENIA JAZZBANDU.

Zródłem muzyki jest rytm, tj. ruch równomierny. Ten ruch rytmiczny, który najdobitniej przedstawia się w ruchu fal, stanowi podstawę wszystkich zjawisk. Ruch — to życie według prawa nowożytnego filozofii przyrody, on bowiem jest jedną z najważniejszych własności naszego organizmu. Rytmiczny oddech, rytmiczne bicie serca, równomierny ruch przy chodzeniu, bieganii, skokach — słowem cały ten ruch w normalnym stanie jest rytmiczny. Odstępstwo od rytmu w przytoczonych funkcjach będzie niewątpliwie dowodem anormalności. A więc, nieprawidłowość w oddychaniu, czyli nierówny oddech, nierówny mierny bicie serca, są oznakami choroby. Jeżeli widzimy człowieka, stawiającego kroki nierówno, np. dwa kroki większe, szybsze, potem mniejszy, powolny, słowem człowieka, który się porusza nierytmicznie, to będzie to bezspornie warjat lub człowiek pijany. Przyjemność sprawia nam prawidłowy, miarowy ruch wojska lub widok takiego ruchu w skokach rasowych zwierząt. Ze rytmika ta nie ogranicza się na ruchach kończyn, lecz udziela się wszystkim częściom ciała, jest rzeczą ogólnie wiadomą.

Wszelkie ruchy, powstające ze skurczów mięśni w równych odstępach czasu, a więc rytmicznych, są przyjemnym sposobem wyładowania nazwaną nagromadzonej w nas energii. Rytm budzi się najwcześniej, uważany jest przezo za prążywiol muzyki w naturze, a bęben, towarzyszący do wymarszu wojska, ten pierwszy instrument muzyczny, stanowi już muzykę w swoim rodzaju, bo ten dźwięczący i stale powtarzający się rytm działa podniecająco na skurcze mięśniowe. Zarówno u ludzi, jak u zwierząt, zdolność uchwycenia rytmicznych ruchów jest wrodzona, a rasę murzyńska jest specjalnie w tym kierunku z natury predysponowana. Tem tłumaczy się popularność i powodzenie tańca i jazzbandu, który jest emanacją muzyki ludowej murzynów północno-amerykańskich. W dalszym swym rozwoju ten pierwiastek folkloru murzyńskiego oczywiście uległ ewolucji i wpływem śródziemnomorskiej rasy północnej Ameryki.

Trupa Louis Douglasa (Chocolate Kiddes), o której niebawem powodzeniu dochodziły nas odgłosy z Zachodu, a która gościła obecnie w Warszawie i Łodzi, obudziła i u nas niemięjszą sensację. Zespół składa się z 30 osób, mających rytm „w kościach” i stwarzających taniec przy egzotycznych dźwiękach saksofonów, rytmizujących banjoli i jazzbandu. Szalona, niemal nadludzka zwinność kończyn, mimika, zapożyczona od małp, komizm ruchów, a nade wszystko ta dosadność rytmiczna nie tylko rąk i nóg, ale i wszystkich mięśni — są to atuty, którymi operuje zespół.

Muzyka jazzbandowa ogranicza się pod względem formy do krótkich tańców (foxtrot, shimmy, blues, charleston, blackbottom), w których decydują o efekcie elementy rytmiczne oraz brzmienie wskutek użycia oryginalnych zestawień instrumentalnych. Ta swoistość rytmiki stanowi najważniejszą cechę melodyki tych tańców, która nosi stygmat sentymentu i humoru północno-amerykańskiego. Świeżość i oryginalność brzmienia jazzbandowej orkiestry zasadza się na użyciu różnych często nowych instrumentów, z których przez stosowanie tłumików wydoszta się humorystyczny koloryt.

Opinie muzyków o wartości muzyki jazzowej są sprzeczne. Najbardziej rozpowszechniona jest opinia ujemna, jakkolwiek są w tej muzyce i pozytywne wartości, które są wykorzystywane przez wybitnych kompozytorów współczesnych. Przeszczerpienie zaś tańców do Europy jest wytworem powojennym, jest zresztą marnem naśladowaniem egzotycznego pomysłu i objawem ogólnego obniżenia się poziomu i smaku estetycznego. Pędzimy na krawędź sensacji i w tańcu z radjową szybkością. Chyba pora jednak zatrzymać się w tych zapędach.

Feliks Halpern.

DZIAŁALNOŚĆ KASY MIANOWSKIEGO.

Wszystkim chyba wiadomo, chociażby z licznych prospektów, że Kasa im. J. Mianowskiego, rektora b. Szkoły Głównej, została założona w r. 1881, w celu popierania polskiej twórczości naukowej; przez wydawanie dzieł, przez udzielanie zasiłków instytucjom naukowym i uczyom na ich badania. Działalność swą Kasa rozciąga na całą Rzeczpospolitą i na polskie placówki naukowe zagranicą. Komitet, rządzący Kasą, składa się z 12 przedstawicieli: nauk humanistycznych i matematyczno-przyrodniczych, wybieranych przez Radę Naukową, do której należy nadzór nad działalnością Kasy. Rada Naukowa, składa się z 24 osób, delegatów Polskiej Akademii Umiejętności, towarzyszy naukowych, wyższych uczelni i członków Komitetu Kasy. W ciągu 45 lat swego istnienia, Kasa wydała około 8 milionów zł. na potrzeby nauki i wydrukowała przeszło 1200 tomów dzieł naukowych.

O wielkiej użyteczności Kasy i niepożytych jej zasługach wątpić niepodobna. Tymczasem sytuacja finansowa tej instytucji niestety pogorszyła się ogromnie, ze względu na układ stosunków międzynarodowych,

w szczególności wskutek umieruchomienia znacznych funduszków w Rosji i wstrzymania dochołu z eksploatacji terenów naftowych na Kaukazie. Trudne położenie materialne naszego kraju nie pozwala Rządowi pośpieszyć Kasie z pomocą tak wydatną, na jakąby zasługiwała. To też poparcie całego społeczeństwa jest konieczne. Wszyscy pamiętamy płomienny apel Stefana Żeromskiego w tej sprawie. Składka członka popierającego wynosi 15 zł. rocznie; członka dożywotniego — 375 zł. jednorazowo. Konto czekowe w P. K. O. nr. 1371.

Kasa wydała niedawno sprawozdanie ze swej działalności w roku 1926. Sądzę, że krótkie tego sprawozdania streszczenie powinno Czytelnika zainteresować.

Rada Naukowa odbyła pierwsze posiedzenie; na przewodniczącego wybrano K. Twardowskiego, na sekretarza K. Żorawskiego. Komitet Kasy odbył 14 posiedzeń, na których rozważono 180 referatów naukowych. Zapomóg pieniężnych udzielono:

- | | |
|---|------------|
| a) na badania naukowe i na pomoc osobistą | 25.763 zł. |
| b) na popieranie działań i-stw naukowych | 6.300 „ |
| c) na nagrody | 2.000 „ |
| d) na stypendja | 1.497 „ |

Nagrodzeni zostali: prof. Aleksander Brückner za „Historję lit. rosyjskiej”, prof. Stanisław Kot za „Historję wychowania”, prof. Wacław Sierpiński za „Zarys teorii mnogości”, prof. A. B. Dobrowolski za „Historję naturalną lodu”.

Na druk wydawnictw naukowych wydano 86,260 zł.

Prace organizacyjno-naukowe: — Przygotowano do druku rocznik „Nauka polska”; urządzono ankietę o obciążeniu na naukę; pracowano nad wydawnictwem „Poradnik dla samotników”; wzięto udział w organizowaniu odbytego w Warszawie XXXV międzynarodowego kongresu prawa autorskiego oraz VI zjazdu międzynarodowego współpracy intelektualnej itd., itd.

Stan posiadania Kasy w sumach hipotecznych oraz w nieruchomościach nie uległ zmianie. — Dochody wyniosły ogółem zł. 352.100,08; rozchody zł. 354.602,63.

Zmarły w lutym 1926 śp. gen. Bronisław Grąbczewski zapisał na rzecz Kasy swe prawa autorskie, rękopisy prac niedrukowanych, zbiory fotografii z odbytych podróży itd.

Wydawnictwa, drukowane w roku sprawozdawczym z całkowitej lub częściowej zapomogi Kasy:

Słownik Języka Polskiego, t. II, III i VIII — nowe wydania.

Wskazówki metodyczne dla studujących:

Panufnik T.: Sztuka lotnicza.
Sujkowski A.: Polska niepodległa.
Tylbor S.: Próby reformy kodeksu cywilnego polskiego.

Zawidzki Jan: Listy Filipa Waltera do Walerego Wielogłowskiego.

Gutowski B.: Studium doświadczalne nad ciałami czynnymi mózgu.

Księga pamiątkowa ku czci Oswalda Balzera.

Listy Fryderyka Chopina do Jana Białobłockiego.

Pamiętnik literacki, tt. XXII—XXIII.

Prace filologiczne, t. X.

Prace matematyczno-fizyczne, t. XXXIV.

Przegląd filozoficzny, rocznik XXIX.

Wiadomości numizmatyczne za r. 1925.

Nauka polska, t. VI i VII.

Prochaska A.: Hetman Stanisław 261-kiewski.

Smoleński W.: Monteskjusz w Polsce w. XVIII.

Witkowski A.: Fizyka, t. I, wyd. V.

Przegląd geograficzny, t. VI.

Rocznik prawniczy wiedeński, t. II.

Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny, t. VII.

Księga pamiątkowa ku czci Stanisława Staszica.

Siemiński J.: Symbolika wydawnicza.

Suchodolski B.: Seweryn Goszczyński.

Skład komitetu kasy na rok 1927:

Prezes — K. Lutostański.

Wiceprezes — W. Porzeziński.

Sekretarz — J. Ujejski.

Zast. sekretarza — F. Czubański i T. Kotarbiński.

Skarbnik — B. Markowski.

Zast. skarbnika — J. Morozowicz.

Członkowie — W. Baehr, Cz. Białobrzezski, J. Jakubowski, W. Świętosławski, Cz. Witoszyński.

Podkomisja bibliograficzna międzynarodowej komisji współpracy intelektualnej Ligi Narodów przyjęła w lipcu 1924 propozycję d-ra Wright'a wydawania co rok zwięzłej listy wybitnych dzieł, które ukazały się w różnych państwach, a które odpowiadają nast. warunkom: 1) należy wybierać prace, których temat i treść są dostępne dla kulturalnego ogółu; 2) lista ma obejmować dzieła ze wszystkich dziedzin nauki, literatury i sztuki. Polska ma prawo przedstawić 20 dzieł. — W roku sprawozdawczym przedstawiono m. in.: Dunin-Kozicka — Burza od Wschodu; Kaden-Bandrowski — Miasto mojej matki; St. Żeromski — Przedwiośnie; Wyspiański — Dzieła malarskie; Pawlikowski — Juliusz Słowacki i in.

Dla szczupłości miejsca, nie możemy przytoczyć więcej szczegółów. Ale już i z tego, cośmy tu podali, czytelnik mógł się przekonać, jak wielostronna i doniosła jest działalność Kasy im. Mianowskiego.

Jan Kaniowa.

P. CHARLES S. DEWEY O POWSZECHNEJ WYSTAWIE KRAJOWEJ.

Amerykański doradca finansowy przy Rządzie Polskim p. Charles S. Dewey, który dnia 30 kwietnia b. r. wraz z małżonką i synem zwiedził gmach Dyrekcji i tereny budowlane PWK, udzielił przedstawicielowi Wydziału Propagandy Wystawy wywiadu, w którym powiedział, co następuje:

Czy zdaniem Pańskim idea urządzenia PWK w roku przyszłym jest uzasadniona?

Nie tylko jest uzasadniona, ale Wystawa taka jest wprost koniecznością, a chwili nie można wogóle było wybrać odpowiedniejszej. Przeciwnie możnaby nawet było kwestionować odpowiedność chwili, gdyby Polska urządziła Wystawę swą wcześniej, lecz dziesięciolecie, jako arytmetycznie zaokrąglony okres czasu nadaje się doskonale, do tak wspaniałego pokazu, zwłaszcza, gdy kraj może wykazać się tak imponującym dorobkiem gospodarczym i kulturalnym. Z tego samego względu termin późniejszy byłby równie mniej korzystny, bo nie uwidoczniłby już tego szybkiego tempa postępu i odbudowy. Wogóle jestem zdumiony i mam najwyższe uznanie dla metod organizacji Wystawy i dla jej naczelnego kierownictwa, szczególnie dla niezmordowanej energii Naczelnego Dyrektora D-ra Wachowiaka. Jego sposób ujęcia całokształtu prac przygotowawczych, mógłby służyć za wzór w każdym z krajów zachodnich.

Czy sądzi Pan, że PWK wpłynie dodatnio na ogólną sytuację gospodarczą Polski?

Bezwątpienia. Tak poszczególni ludzie, jak narody zabierają się przecież do interesów, gdy widzą na własne oczy, gdzie interesu te mogą znaleźć.

Czy można się spodziewać z powodu Wystawy rozwoju względnie rozbudowy stosunków handlowych między Polską a Ameryką?

Znaczna rozbudowa stosunków polsko-amerykańskich po Wystawie i na skutek tejże jest moim zdaniem rzeczą nieuniknioną. Ameryka bada starannie, gdzie mogłaby nawiązywać nowe stosunki handlowe, a po tem na co patrzalem i patrzę własnymi oczyma, nie wątpię, że stosunki handlowe polsko-amerykańskie doznają wielkiego ożywienia.

Mamy wiadomości, że emigranci polscy w Ameryce przygotowują liczne wycieczki na PWK. Ale, czy zdaniem Pańskim można się także spodziewać przyjazdu licznych rodowitych Amerykan na PWK?

Sądzę, że tak. Zainteresowanie Polską wzmogło się ostatnim czasem w Ameryce bardzo znacznie. Przyczyniły się do tego między innymi w wysokim stopniu sukcesy Polski w dziedzinach: gospodarczej i sportowej. Zresztą emigracja polska w Ameryce jako integralna część organizmu amerykańskiego nie może nie oddziaływać na resztę tegoż organizmu. Sam fakt przyjazdu licznych Polaków amerykańskich będzie zachętą dla rodowitych Amerykan. Zwłaszcza zainteresowanie dla morza polskiego i dla rozwoju Gdyni rośnie w Ameryce z każdym dniem. Chęć poznania bezpośrednio komunikacji Polski z Ameryką spowoduje niewątpliwie licznych Amerykan do wyjazdu do Polski. Poza to oczywiście dużo zależy od umiejętnej propagandy.

POWSZECHNE GŁOSOWANIE W LITERATURZE.

W numerze 242 tygodnika „Głos Prawdy” w dziale literackim, pozostającym pod redakcją Kaden-Bandrowskiego znajdujemy artykuł polemiczny w sprawie Akademii Polskiej. Artykuł jest niepodpisany i zapewne autorem jego jest sam p. Kaden-Bandrowski, który kruszy kopję w obronie projektu Akademii Polskiej, broniąc tego projektu przeciw atakom zwolenników „Izby Literatury” z Karolem Irzykowskim na czele.

W tym to artykule zatytułowanym „Razem drągiem” czytamy:

„Tak zwana opozycja, szczególnie pp. Irzykowski i Miller, walczyli znacznie prościej, niejednokrotnie zamiast szpady, używając pospolitych drągów. Do takich właśnie razów draga, zaliczyć chyba można inwektywę p. Millera, który rozprawiając się z pokolemiem starszych pisarzy, nazywa ich prostopo „ludźmi na żółdnie szalibierczych instytucji, uprawiających z lubością tematy, pomazające w sposób doradny klientelę lupanarów”. Do takich razów draga zaliczyć chyba też wypadnie chwytławy autora Pałuby, p. Irzykowskiego, wielkiego rzecznika i orędownika Akademii Literatury Polskiej w 1922 roku, który obecnie przeciwników swych (w danym wypadku p. Wielopolska), okłada wyzwiskami od hyjen centkowanych, „kicha na dyskusję” i t. d.

Trzeci głos Boya-Zeleńskiego przyczyni się w tej sprawie może do jakiegoś takiego omiędzielenia? Albowiem Zeleński w feljtonie „Akademja, Izba, czy Figa z Makiem”, podważa umiłowaną za sadę izbowców, to jest literackiej równości demokracji, dzieląc braci literacką na pisarzy i parataczy, czy pętałów.

Zdaje się, że tu właśnie tkwi sedno sprawy: Nie dopuścić do wzrostu autorytetów, zbudować rzecz całą na głosowaniu, w którym Napierski będzie znaczył tyleż samo, co Berent.”

A więc w literaturze „równość demokratyczna” przestała już być dogmatem nietykalnym. Walka przeciw opieraniu rzeczy na głosowaniu, w którym „Napierski będzie znaczył tyleż samo co Berent” podjęta została w tej kampanji „Akademja — Izba” z takim temperamentem i ogniem n. b. przez literackich przedstawicieli sier, które w polityce ciągle jeszcze stoją na stanowisku powszechnego głosowania, przy którym „Napierski znaczył tyleż samo co Berent”, że druga strona w braku argumentów uciekła się już do „razem drągiem”.

Nieszczęśliwa musi być sprawa, która nawet literatom każe posługiwać się drągiem... aby nie dopuścić do wzrostu autorytetów.

TRISTAN BERNARD A WYBORY.

Czasopismo literackie „Candide” w Paryżu rozpisalo ankietę na temat, czy pisarze powinni wystawiać swoje kandydatury do parlamentu. Od Tristana Bernarda nadeszła następująca odpowiedź.

„Pisarz i polityk, to dwa przeciwne bieguny: Pisarz musi szukać ciągle nowych sposobów wyrażania swoich myśli, podczas gdy polityk powtarza zawsze jedne i te same słowa i jedne i te same formułki (które nazywa zasadami). W dodatku tylko wtedy cieszy się polityk dobrą opinią, jeżeli przez całe życie powtarza jedno i to samo, nie zmieniając ani jednej litery. W przeciwnym razie wrogowie nazwą go zdrajcą i renegatem. Polityka jest jedynym zawodem, w którym doskonalenie się i rozwój pojęć jest zakazany i uważany za zbrodnię. Najlepszymi politykami są ci, którzy wciąż te same komunały powtarzają. A komunały te tem łatwiej idą z ust do ust, że zazwyczaj nic nie znaczą i żadnej w nich niema treści... Prócz tego posiadam pewne przekonania, co nie powinno mieć miejsca u człowieka, który chce się polityce poświęcić”.

Dyrekcja Kolei Elektrycznej Kódzkiej

Sp. Akc.

podaje niniejszem do wiadomości, że z powodu konieczności ograniczenia ruchu tramwajowego na ul. Narutowicza w związku z prowadzonymi na tejże ulicy robotami kanalizacyjnymi

Kierunek linii № 12

ulegnie zmianie na czas od 4 maja r. b. aż do ukończenia robót kanalizacyjnych.

W tym okresie pociągi linii Nr. 12 biec będą: Od Rynku Bałuckiego przez ul. Nowomiejską, Plac Wolności, ul. Pomorską, ul. Nowo-Targową, Plac Dąbrowskiego, ul. Narutowicza i ul. Skwerową do Dworca Fabrycznego i z powrotem.

Kierunek linii Nr. 2 i 7 pozostaje bez zmiany.

Listy do „Prawdy”

NAWRACANIE ŻYDÓW.

„Dzwon Niedzielny” w Nr. 17-ym przynosi wiadomość, że w Polsce rozpoczyna się „misja żydowska”, celem nawracania żydów na chrześcijaństwo. Nawracanie jednostek ma jedną wadę poważną, bo gubi w masie starowierców te nieliczne jednostki nawrócone, które własny typ duchowy w następnych pokoleniach zatraca.

Badając oddawna zagadnienie żydowskie, doszedłem do przekonania, że nawracanie winno się odbywać masowo, aby większa liczba naraz przyjmowała chrzest tak, iżby mógł powstać naród żydowski - chrześcijański, któryby mógł własny typ psychiczny wysokowartościowy w najdalszych pokoleniach zachować.

Nawracanie masowe jest późniejszą metodą misyjną, która znalazła zastosowanie dopiero po zalewie państwa rzymskiego przez ludy niemieckie.

Przykładem takiego masowego nawrócenia są Anglowie w Brytanii, których pozyskał dla wiary chrześcijańskiej św. Augustyn, wysłany tam przez św. Grzegorza Wielkiego.

Nawrócenie Żydów jako narodu jest dziełem bardzo trudnym, a przez Opatrzność zostawionem na jakiegoś czasu końcowe, bo Żydzi mają wejść do Kościoła ostatni. Do tego czasu odkładają także Rozjanie swe nawrócenie do jedności kościelnej, czego dowodem jest zbiorowa ksiązka, wydana w Berlinie w roku 1923: „Rosja a Jacyństwo”.

Jesteśmy świadkami ogromnego przewrotu w islamie, który przestał być panującym i możemy stwierdzić, że dla islamu egzamin historyczny wypadł niekorzystnie. Mozaizm przechodzi także ciężki przełom, ale jego czas krytyczny odwiecie się jeszcze do jakiegoś blisko wieku. Żydzi przechodzą rozkład cywilizacyjny, bo syonizm jako nacjonalizm żydowski przeschwiepiony został z typu jacyńskiego.

Z naszego stanowiska cywilizacyjnego musimy w judaizmie odróżnić stronę religijną i narodową. Żydzi, kształcąc się w szkołach europejskich, „tracąc” światopogląd biblijny, osłabiają się w mozaizmie, szukają jakiejś „reformy judaizmu” (ksiązka z roku 1875), a nawet zarzili się nacjonalizmem, który z ich typem cywilizacyjnym jest niezgodny. Żydzi swego typu cywilizacyjnego już nie utrzymują, bo za syonizmem inne nasze czynniki kulturalne wdzierać się będą coraz silniej do ich typu duchowego i będą go rozsadzać.

Żydzi najdzielniej przyczyniają się do rozkładu typów cywilizacyjnych europejskich, ale sami nie mogą się uchronić od ich wpływów i przychodzi na nich także ta konieczność, że albo muszą utworzyć nowy wyższy typ cywilizacyjny, który mógłby stać się wspólnym dla kilku narodów — albo czeka ich kataklizm socjalny i zguba. Nowy tygodnik młodzieży żydowskiej „Dzwon” głosi właśnie to hasło współpracy cywilizacyjnej z Polakami, o co „Mysł narodowa” poczuła się urażona.

Posel socjalistyczny Diament zabrał głos w „Dzwonie” o kwestii żydowskiej, której rozwiązanie w Polsce widzi przez współpracę mas żydowskich z polskiem mieszczaństwem dla demokracji, dla wspólnego dobrobytu, dla potęgi państwowej. Podobną współpracę państwową widzimy u bolszewików, tylko w odwrotnym kierunku. Coraz wyraźniej tworzą się w świecie dwa obozy: po obu stronach stają Żydzi i tak przygotowuje się wśród nich głęboki rozłam: jedni coraz bliżej pójdą z Polakami do nowego typu cywilizacyjnego, drudzy z bolszewikami (elementami destrukcji) ewentualnie i ludami azjatyckimi do burzenia dotychczasowego porządku światowego.

Nawracanie masowe Żydów robi się więc przez samą pracę dla wzmocnienia państwa polskiego, któreby stało się ostoją dobrobytu dla każdego obywatela.

Żydzi, którzy z Polakami pragną współpracować dla takich celów, będą zmuszeni do pełnego duchowego zbratania z nimi.

Według prawa apostołskiego Żydzi masowo wstępujący do Kościoła mogą sobie obrać własny obrządek i język. Tak się dziś wydaje, że najbliższy dla nich obrządek byłby żydowski, a język polski. Mielibyśmy więc w Polsce obok jacyńskiego, greckiego i ormiańskiego czwartego obrządek żydowski. Tak Żydzi - chrześcijanie zachowaliby się do wynarodowienia i zwyrodnienia, rozrosłoby się w wielki naród mając podwójną siłę rozrodczą, bo nawet krzyżowani z Polakami swój typ duchowy jeszczeby wyżej podnieśli i udoskonalili.

Na gruncie dzisiejszym mamy wyraźne zadanie państwo swoje tak umocnić przez przywiązanie doń każdego obywatela, aby go żadne siły destrukcyjne nie mogły podważyć. Żydzi stanowią w Polsce element bardzo liczny i we własnym interesie musimy usilnie zabiegać, aby ich dla państwa pozyskać.

Żeg. Jant.

Powiedz znajomym

że „PRAWDE” można zamówić w każdym urzędzie pocztowym

na miesiąc, kwartał lub rok i że jest obowiązkiem każdego inteligenta, interesującego się życiem społeczeństwa i państwa czytać „PRAWDE”

Kwiatki

KLUJE i GADA...

W czasopiśmie „Wiadomości Polsko-Słowackie” znajdujemy następujący wiersz:

POLSKO!

Zaufawszy wrogów słowa, Dalaś morze Niemcom rada, Dziś niebaczną, karmisz znowu W górach swoich Czecha — gadał...

Małgorzata Starzyńska.

Czech jest wrogiem. Zdradę knuje, Naszą skórę przebandluje... Próżno w niego cnotę wznawiać, W ślepią babkę się zabawiać, Tzeba prawdziwie spojrzeć w oczy, Bo nas nożem w kark zaskoczy...

Małgorzata Starzyńska.

Niebezpieczna jest ta pani Małgorzata Starzyńska: gada i gotowa nożem w kark zaskoczyć. Redakcji „Wiadomości Polsko-Słowackich” należy się wdzięczność, że ostrzeża p. t. publiczność przed tą panią — ale kto to jest — jak ją poznać, jak się przed nią uchronić?

„RECENZENT”

W ostatnim numerze tygodnika „Nowości” jest recenzja z wystawy w Zachęcie. Recenzent tego organu, niejaki T. Bulewski, pisze o malarzu Wawrzeńceckim:

„Człodki malarskie co prawda proste i często manieryczne, tematy obracają się w ciasnym zakresie — scen średniowiecznych egzekucji nad czarownicami, pustelnikami gdzie ermitki lub postacie kobiece przebywają sam na sam z sobą, lub z jakąś żądzą tajemniczą upostaciowaną w węże pokrytymi iskrzącymi się łuskami o polyskliwości oczach, który stanowi ulubiony motyw wielu jego obrazów.”

We wszystkich tych pracach widać talent i umiejętność malarską dużą.

Rysunek choć często manieryczna barokowość, jest jednak mocny — zwłaszcza w ciele ludzkim; koloryt choć lubujący się w dekoracyjnych płaszczyznach, a unikający subtelnego odcieni światłości jest bogaty i czasami nawet świetny i harmonijny.”

Możeby tak redakcja „Nowości” pozostawiła p. Bulewskiego sam na sam z sobą, dodając mu ewentualnie — aby się nie zanudził — jakąś tajemniczą żądzą dla towarzysztwa. Będzie to może zbyt łagodna egzekucja dla takiego „krytyka” — ale niechaj wie, że zawziętości w nas niema, mimo że w tej samej recenzji napisał jeszcze:

„Prace Irenej Luczyńskiej-Szymanowskiej dla tych co znają jej dawniejszą działalność, nie przy noszą sobą wcale nic nowego — dobry rysunek, przy braku głębszego poczucia koloru i niezdecydowany, przy pewnej pozornej łatwości i brawurze — sposób malowania, wszystkie te zalety i wady widoczne są we wszystkich obrazach na wystawie. Duże zalety kompozycyjne posiadają portrety; kolor względnie najlepszy widać w niektórych martwych naturach.”

Ten rysunek bez głębszego poczucia koloru i ten sposób malowania niezdecydowany, ale brawurowy — kwalifikują autora na... martwą naturę.

SPORTOWCY ZROBIĄ PORZĄDEK.

„Gazeta Warszawska” zamieszcza p. t. „Sjoniści a Rząd” następującą sensacyjną wiadomość:

„Onegdaj miał się odbyć w Łodzi ogólnokrajowy zjazd organizacji sportowych. Na zjeździe tym miała być omawiana sprawa stosunku Koła żydowskiego do rządu, premy Pilsudskiego, sprawa wyboru prezesa Koła żydowskiego w Sejmie itd. Zjazd w Łodzi został odwołany i odbędzie się w Krakowie dnia 29 bież. mies.”

Chwała Bogu, nareszcie znalazł się ktoś kto zrobi porządek z żydami. Sportowcy określą stosunek koła żydowskiego do rządu i naznaczą prezesa koła. Czekajmy więc cierpliwie do 29-go.

ŁÓŻKA DLA NOWOŻENCÓW.

„Głos Lubelski” donosi:

„W Ameryce dużem powodzeniem cieszyły się nowe modele łóżek, które na dzień zamykały się we wnętrzu ściany, dając wygląd drzwi lub boazerji. Dwoje mieszkańców Los Angeles pp. Bruce stali się ofiarami nowego wynalazku. Z chwila, gdy położyli się do łóżek, mechanizm zaczął funkcjonować i znaleźli się wwięzieni i przygnieleni do ściany.

Dopiero rano usłyszano ich krzyki i wydobyto prawie uduszonych z przykryj pułapki. PP. Bruce wystąpili na drogę sądową, domagając się odszkodowania od wynalazcy w sumie 350.000 złotych.”

Rzeczywiście „praktyczne” łóżka, zwłaszcza dla młodych par.

MASZYNA URZĘDOWA.

Krakowski „Nowy Dziennik” pisze:

„Dnia 17 b. m. kilka minut po godz. 5-ej rano zbudził posterunkowy policji rodzinie pani R. H. przy ul. Bożego Ciała 17, wzywając gospodynię domu do udania się na policję. Na zapytanie wystraszonej domownicy, co takiego się stało, że nad ranem musi być starsza poważna kobieta i kupcowa pod eskortą posterunkowego sprowadzona na policję, odpowiedział posterunkowy, że chodzi o zapłacenie starej zaległej grzywny i że rozkaz musi być absolutnie wykonany. Na usilne prośby, ażeby zamiast chorej gospodyni domu mogła w jej zastępstwie iść na policję jej córka, zgodził się wkońcu posterunkowy w drodze szczególnej łaski i ustępstwa. Na posterunku policji przy ul. Grodzkiej 65, przesiadła się córka pani H. od godz. 5.30 rano do 8 rano. Przybyli komisarz oświadczył panie H., że za niezamknięcie sklepu w godzinie policyjnej w roku 1924 (!) zalega jej matka z grzywną w kwocie 5 milionów marek, co na dzisiejszą walutę wynosi 2 złote 80 groszy. Panna H. odepchnęła bądźco bądź z ulgą i udała się natychmiast do sądu dla wyrównania tej grzywny. W sądzie przetrawiła akt i papiery, a po skrupulatnem zbadaniu sprawy oświadczyła panie H., żeby nie zawracała daremnie głowy, gdyż w sierpniu 1924 grzywna ta została w porządku zapłacona.

„Ale niema to, jak dbała o interesy skarbowe policji. Ażby piatek przypadkiem nie umknął, wyciąga się go z łóżka i sprowadza na policję o godz. 5-ej rano...”

LIGA MOCARSTWOWEGO ROZWOJU POLSKI.

W dniach ostatnich został zorganizowany w Łodzi „Komitet Wojewódzki Ligi Mocarstwowego Rozwoju Polski” w następującym składzie: prezes — Stanisław Pawłowski, sekretarz — Miron Lewandowski, członkowie — kierownicy wydziałów: Aleksander Zaleski, Marja Więckowska, Antoni Tomaszewski, Romuald Petrykowski.

Komitet Wojewódzki rozpoczął już swoje czynności powołując Komitety Powiatowe i Kola miejscowe „Ligi Mocarstwowego Rozwoju Polski”.

Zadaniem Ligi jest dążenie do zdobycia dla Polski mocarstwowego stanowiska przez pracę nad rozbudzeniem uśpionych sił twórczych w Narodzie i podniesieniem jego kultury zarówno duchowej jak materialnej, pracę nad wychowaniem jaknajszerszych warstw społeczeństwa rozumiejących potrzebę ładu, karność, poszanowania i przestrzegania ustaw, budzenie czynnego zainteresowania wśród najszerszych warstw społeczeństwa i utworzenie jednolitego frontu w sprawach obrony Narodowej, walkę z ujemnymi objawami partyjnictwa w Państwie, zwalczanie jednostek oraz ugrupowań zerujących na żywotnych interesach Państwa, tudzież tępienie przejawiających się w jakichkolwiek formach nadużyć uprawianych przez sprzedajęce elementy.

Do osiągnięcia wskazanych celów Liga dąży przez czynne poparcie i dopomaganie w zrealizowaniu idei państwowej czynników obecnie rządzących oraz szerzenie w szerszych warstwach społeczeństwa zrozumienia dla tej idei i zaufania do metod pracy tych czynników, a to za pomocą konferencji, odczytów, wydawnictw i t. p.

Nowe wydawnictwa

STATYSTYKA PRACY.

Kwartalnik

(nakładem Głównego Urzędu Statystycznego)

Ukazał się zeszyt 2 rocznika VII Statystyki Pracy zawierający następujące artykuły i dane liczbowe dotyczące poszczególnych zagadnień pracy, a mianowicie: Bruhna Balukiewicz. Stan rynku pracy i koniunktury w przemyśle. Stan zatrudnienia. Bezrobocie i państwowe pośrednictwo pracy. Jan Deręgowski. Placę robotnicze w Polsce w r. 1927 w górnictwie, hutnictwie i w przemyśle. Strajki i lokauty w III kwartale 1927 r. Działalność Funduszu Bezrobocia.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE

(nakładem Głównego Urzędu Statystycznego)

Ukazał się zeszyt 8 Wiadomości Statystycznych na treść którego słożyły się między innymi następujące zestawienia obejmujące aktualne dane z życia gospodarczego Polski.

Produkcja górniczo - hutnicza w lutym r. b. Handel Zagraniczny Polski w m. marcu r. b. Ruch statków w porcie gdynińskim. Koszty utrzymania w/g obliczeń Komisji lokalnych. Ceny hurtowe artykułów przemysłowych. Ceny giełdowe zbóż — przegląd międzynarodowy. Bezrobocie i państwowe pośrednictwo pracy. Kursy dewiz i papierów procentowych na giełdzie warszawskiej. Wskaźniki 45 akcji. Sieć banków kredytu krótkoterminowego w Polsce. Wkłady w instytucjach kredytowych. Wydatki i dochody Państwa. Pozaatem zeszyt zawiera ciekawe dane z wyborów do Sejmu i Senatu z dnia 4 i 11 marca r. b.

Całości zeszytu dopełniają wykresy oraz liczne przeglądy międzynarodowe.

Ach te Centusie

„Ach, pan pułkownik... Kopeć lat... No, żyjemy jeszcze, my starzy...”

„A, no, kolega widzi... tóżta gwiazdki. Cóż emeryt ma robić? Chodzi się do Loursa'a i gapi się na starsze balleriny... Żeby to człowiek miał te lata... Kolega pamięta — w Petersburgu?”

„A kolega gdzież teraz pobywa?”

„A, no, osadzili mnie w Małopolsce. Prawdziwa mała Polska. Nie wiem co to, ale jakoś cianno wśród centusiów...”

„Ja tam, siawa Bogu, jeszcze nie był. Ale takto samo ich poznał. Bo widzi kolega, mój zięć to takto samo z Galicji. Dobry chłopiec, niema co mówić, karierę zrobi, szelowie ogromnie go chwala...”

„No, to chwala Bogu, pogratulował...”

„Tak... tak... ale jakie nazwiska u tych galicjanuszków... Mucha, Pająk, a jeden jego przyjaciół nazywa się aż Kopyto, ha, ha, ha... Gdzież to znalazł u nas na Kresach takie nazwisko, chyba u chiopa...”

„No, u nas też w pułku, kolega pamięta, każdy piąty był Iwanow albo Popow...”

„Zawsze, jakby nie było, to to nie z zoologii...”

„Tam to każdy chłop swojego syna posyła do gimnazji, no, a potem to wszystko taki inteligenty — pcha się na urząd, do pułku...”

„Nie inaczej, a manjery jakie u nich... raz to karmaci postawili jednemu z nich likier przed zakąską. I co kolega powie? Wypił, jakby nic, wypił. Nic nie pojął. U nas, toby takiego do klubu nie byli wpuszczili. To taka i kultura u tych centusiów...”

Tr.

Wydział Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi.

Do Rejestru Handlowego w Łodzi, Działu A i B wale-siono następujące wpisy za Nr Nr.:

Nr. 12039/A. „Abram Godes”. Wyrób towarów jedwabnych. Łódź, ulica Gdańska 87. Firma istnieje od 1925 r. Łódź, ulica Gdańska Nr. 87. Właściciel, Abram Godes, zam. w Langówku, pow. Łódzkiego. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 826/B. „Zakłady Ceramiczne Znicz, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Celem spółki jest prowadzenie fabryki wyrobów ceramicznych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku. Łódź, ulica Wodna Nr. 12-14. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 5,000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 50 złotych każdy. Zarządcami spółki są: Szlama Szereszewski i Dawid Opoczyński, obaj zamieszkałi w Łodzi przy ulicy Wodnej Nr. 12/14, którzy mają prawo samodzielnie podpisywać wszelkie bez żadnego wyjątku dokumenty i zobowiązania oraz samodzielnie wykonywać wszelkie czynności. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki trzyletni z automatycznym przedłużaniem z roku na rok. Akt zawarcia spółki został sporządzony 30 grudnia 1927 roku N. R. 11911 przez Stefana Jarzębskiego, Notariusza w Łodzi.

Nr. 12038/A. „Józef Amster vel Birn”. Sprzedaż resztek manufaktury. Firma istnieje od 1 marca 1928 roku. Łódź, ulica Południowa Nr. 18. Właściciel, Józef Amster vel Birn, zamieszkały w Łodzi przy ul. Południowej 18. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 22 grudnia 1923 r. N. R. 19643 przed Władysławem Jeżewskim, Notariuszem w Łodzi, między Józefem Amster vel Birn, a jego żoną Kają-Ruchel ze Szremów została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 827/B. „Uniwersal, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Wyrób i sprzedaż wszelkiego rodzaju konfekcji, oraz towarów manufakturowych. Siedziba firmy jest Łódź, ulica Nowomiejska 17. Spółka rozpoczęła czynności 10 marca 1928 roku. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 2,000 zł. podzielonych na 50 udziałów po 40 zł. każdy. Wspólnicy odpowiadają za pasywa spółki do wysokości 3,000 zł. Zarząd należy do obydwu wspólników: Lejba Berala z Łodzi, Gdańska 37 i Szał Bendersa — Łódź, Nowomiejska 17. Weksle, czek, przekazy, żyra i wszelkiego rodzaju zobowiązania podpisują obaj zarządcy łącznie pod stemplem firmowym. Natomiast wszelkie inne czynności w imieniu spółki, nie mające treści zobowiązania, uprawniony jest złatwiać każdy ze wspólników samodzielnie i każdy z nich ma prawo odbierać towary, pieniądze i inne należności oraz dokumenty. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki sporządzony został 6 marca 1928 roku za N. R. 1145 przed Notariuszem Krzemieniemskim w Łodzi. Czas trwania spółki określony został na 2 lata z automatycznym dwuletnim przedłużaniem.

Nr. 828/B. „Fiaton, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Celem spółki jest sprzedaż samochodów. Siedziba firmy jest Łódź, ul. Ewangelicka 5. Firma rozpoczęła czynności 1 lutego 1928 r. Kapitał zakładowy spółki, całkowicie wpłacony, wynosi 2,000 złotych, podzielonych na 20 udziałów po 100 zł. każdy. Zarządcą jest Aleksander-Juljan Maczewski, zam. w Łodzi przy ulicy Orlej 25, który ma prawo wykonywania wszelkich czynności oraz podpisywania wszelkich dokumentów, nie wyłączając weksli, zobowiązań, umów, aktów notarialnych i hipotecznych oraz prokur. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został sporządzony 6 lutego 1928 r. za N. 530 przez Notariusza Jarzębskiego w Łodzi. Czas trwania spółki trzyletni z automatycznym trzyletnim przedłużaniem.

